NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. Kraków, 4 maja 1907. Nr. 18.

Bomba w Łodzi.

(Treść na stronie 2).



Treść numeru: Echa z pobytu cesarza w Pradze. — Nowy proboszcz ewangielicki w Krakowie. — Kardynał-dyplomata. — Regulacya Rudawy. — Zasłużony spoczynek. — Smierć znakomitego chirurga. — Zagadkowa zbrodnia. — Postępowy władca azyatycki. — Tajemnicze morderstwo. — Demonstracya w Atenach. — Zabójstwo rewirowego. — Kierownik polityki japońskiej. — Krwawy dramat rodzinny. — Aresztowanie Sieczki. — Samobójstwo przyjaciółek. — Policmajster miasta Łodzi. — Walka wojsk z bandytą itd. itd

Bomba w Łodzi.

(Do illustracyi tytułowej).

Na małą skalę, w podobny sposób, jak swego czasu na kanale Katarzyny w Petersburgu, gdzie z pomocą bomby napadnięto na kasyerów przewożących sumy krociowe, urządzili przed tygodniem bandyci w Łodzi zamach na płatników monopolowych. Było to przed wieczorem, zanim zmierzch zapadł. Ulicą Rokocińską przejeżdżał wóz monopolowy, wiozący pieniądze, zebrane z różnych sklepów rządowej sprzedaży spirytualiów, w sumie około 5.000 rubli. Wóz jechał pod silną strażą. Obok dwóch przysięgłych strażników: Ułaczka i Pilutowskiego siedziało czterech uzbrojonych żołnierzy.

Wtem na rogu ulicy Przędzalnianej jacyś dwaj nieznajomi ludzie rzucili pod nadjeżdżający wóz z płatnikami bombę, która zaraz wybuchła z wielką siłą. Dość powiedzieć, że siłą wybuchu rozbity został na drobne kawałki wóz, oba zaś konie ciężko poranione.

Wtedy to wypadło naraz z za parkanu około 30 ludzi, którzy rozpoczęli gwałtowną strzelaninę z rewolwerów. Jeden z żołnierzy zabity został na miejscu, pozostali zaś trzej otrzymali ciężkie rany od kul rewolwerowych. Odłamki bomby poraniły też obu płatników, na szczęście lekko, ale woźnica otrzymał ranę ciężką w głowę.

Wówczas napastnicy zabrali wszystkie pieniądze, jakie w workach skórzanych znajdowały się na wozie i zbiegli z łupem. Ani śladu już z nich nie było, gdy wkrótce przybyła na miejsce wypadku policya z wojskiem. Puszczono kilka salw karabinowych w ulice na wszystkie strony, przyczem kula zabłąkana zraniła przechodzącą robotnicę, ale pościg nie dał żadnych rezultatów. Rannych przewieziono do szpitali. Jak silnym był wybuch bomby, świadczy to na przykład że parkany okoliczne na przestrzeni kilkunastu sążni zostały rozerwane, a w kilkunastu domach sąsiednich nietylko szyby wytłuczone, lecz nawet meble uległy zniszczeniu.



Echa z pobytu cesarza w Pradze: Księżna Zofia Hohenberg morganatyczna małżonka arcyksięcia Franciszka Ferdynanda d'Este.



Echa z pobytu cesarza w Pradze: Cesarz w towarzystwie namiestnika Czech hr. Coudenhove.

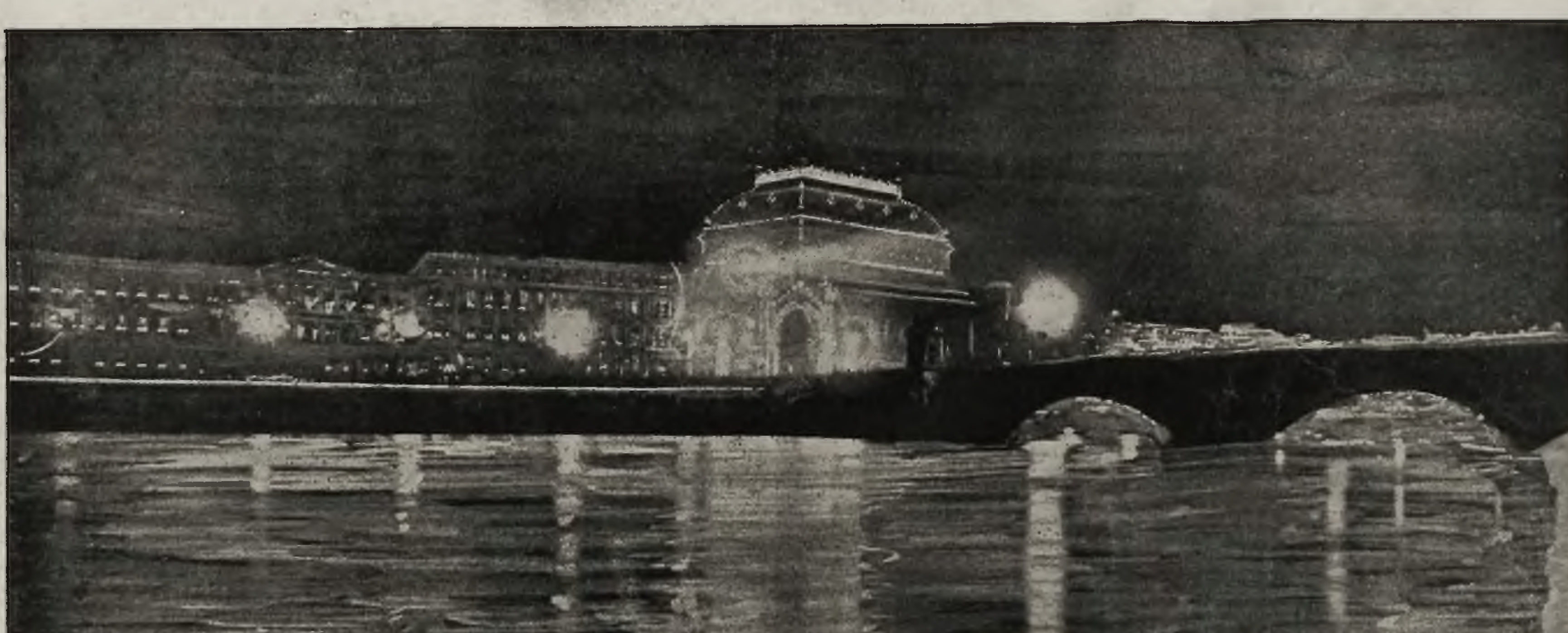
Echa z pobytu cesarza w Pradze.

Sędziwy monarcha Franciszek Józef I, może naprawdę być zadowolonym z przyjęcia, jakie zgotowała mu „złota“ Praga. Niekłamany entuzyazm obu narodowości, zamieszkujących stolicę nad Wełtawą, Czechów i Niemców, był niezawodnie główną ozdobą tego przyjęcia, ale i strona jego zewnętrzna wypadła nader wspaniale.

Poprzednio już podaliśmy widoki dekoracyj Pragi, z których można było sobie wyrobić łatwo wyobrażenie, w jak piękną odświętną szatę przystroiła się ona na przyjęcie cesarza. Tym razem dodajemy jeszcze, że prawdziwie czarodziejski widok przedstawiała dwukrotnie powtórzona iluminacya miasta i wzgórzy, które otaczają je od strony północno zachodniej.

Cesarz, pomimo podeszłego wieku, skończy bowiem wkrótce lat 77, zadziwiał wszystkich swoją rześkością. Po całych dniach zwiedzał on muzea, zakłady dobroczynne i naukowe, udzielał prywatnych posłuchań, przyjmował delegacye i t. d. Oprócz tego codzien prawie brał udział w obiadach dworskich, na które otrzymywali zaproszenia najwybitniejsi przedstawiciele obu narodowości.

Ogromna świta, towarzysząca cesarzowi, a w której oprócz prezydenta ministrów br. Becka i obu ministrów-rodaków, dra Pacaka i dra Derschatty, znajdowało się mnóstwo wysokich dostojników dworskich, dodawała wspaniałości jego pobytowi w Pradze. Z rodziny cesarskiej znajdowali się u boku monarchy: następca tronu, arcyksiążę Franciszek Ferdynand d' Este, oczywiście bez swej morgana-



Echa z pobytu cesarza w Pradze: Iluminacya prawego brzegu Wełtawy z Narodowym teatrem czeskim w pośrodku.

tycznej małżonki, księżnej Hohenberg i arcyksiążę Karol Franciszek Józef, syn zmarłego niedawno arcyksięcia Ottona, odbywający obecnie studya uniwersyteckie w Pradze, na obudwóch uniwersytetach, niemieckim i czeskim.

Na ogół biorąc, pobyt cesarza w stolicy Czech miał przebieg bardzo zadawalający tak dla wysokiego gościa, jak i dla gospodarzy, którzy przyjmowali go z otwartemi rękoma i sercem.

Ryciny, które dołączamy do niniejszego artykułu, przedstawiają: „cercle“, jaki odbywa cesarz po jednym z obiadów dworskich, widok iluminacyi lewego brzegu Wełtawy, z Teatrem Narodowym czeskim, tonącym w falach światła elektrycznego, oraz księżnę Hohenberg z domu hr. Chotek, która chociaż nie zdobyła sobie korony cesarskiej, to jednak zdobyła rękę i serce przyszłego władcy Austro-Węgier.



Echa z pobytu cesarza w Pradze: Cesarz odbywa ze swymi gośćmi »cercle« po obiedzie dworskim.

Zabójstwo rewirowego.

Nie tak często jak dawniej, ale zdarzają się znowu w Warszawie zamachy uliczne na przedstawicieli policyi. Illustrujemy właśnie napad najwybitniejszy, którego ofiarą padł rewirowy cyrkułu Towarowego, Makarewicz. Szedł on rano w towarzystwie dwóch żołnierzy patrolowych pułku grochowskiego przez ulicę Towarową, obchodząc swój rewir. Na rogu Prostej zaczęło do Makarewicza strzelać z browningów kilku młodzieńców. Z dziesięciu ich strzałów wszystkie były celne. Ani rewirowy, ani żołnierze nie zdążyli nawet we własnej obronie użyć karabinów, ni rewolwerów, tyle bowiem kul zasypało ich odrazu. Jedna z nich przeszyła głowę Makarewiczowi i położyła go trupem na miejscu, inne kule ciężko poraniły obu żołnierzy, zwłaszcza jednego, nazwiskiem Antonowa, śmiertelnie. Wezwane Pogotowie stwierdziło już tylko śmierć rewirowego, a żołnierzy odwiozło do wojskowego szpitala.

Sprawcy strzałów zbiegli, następstwem wszakże napaści tej było dokonanie rewizyi w domu Nr. 21. przy ul. Wroniej, w którym, według pewnych wskazówek, mieli się ukryć po wypadku strzelający. Rewizya ta nic nie wykryła. Okazało się, że po strzałach jakiś staruszek ukrył się w podwórzu tego domu, miał jednak dowody przy sobie, stwierdzające jego osobistość, więc puszczono go na wolność.

Tajemnicze morderstwo.

Przy ulicy Wroniej w Warszawie stoi nędzna rudera drewniana. Na parterze od frontu, lecz z oknami od dziedzińca zajmuje dwa pokoiki z wejściem z bramy, kilka ubogich kobiet z drobnemi dziećmi. Wolne kąty odnajmują różni lokatorowie przygodni. Otóż w drugiej izbie, kąt przy drzwiach zajmowała 22-letnia kelnerka Józefa Broniszewska, niedawno poślubiona piekarzowi, lecz z mężem nie żyjąca. Zwykle późnym wieczorem, po zamknięciu restauracyi, w której pracowała, odprowadzali ją jacyś młodzieńcy do domu. W ubiegłym tygodniu także dwóch nieznanych ludzi odwiozło ją do domu po północy dorożką, lecz tym razem wbrew zwyczajowi miała Broniszewska tylko zmienić żakiet na cieplejszy i udać się wraz z oczekującymi ją w dorożce znajomymi do jakiejś nocnej restauracyi na dalszą zabawę. Tymczasem, tajak zanważyły lokatorki, była już tak pijana, iż zdjąwszy żakiet, rzuciła się odrazu na łóżko i zasnęła, zapomniawszy o czekających na nią przyjaciołach.

Ci niecierpliwili się przez pół godziny, wreszcie zadzwonili na stróża i wpuszczeni do bramy zapukali do mieszkania, w którem wszystkie lokatorki spały. Jedna z nich rozbudzona pukaniem, odpowiedziała przez drzwi na pytanie, czemu Broniszewska nie wychodzi, że śpi ona już twardo. Prosiła ich, by jej nie budzili, bo musi rano iść do roboty, a nadto objaśniła ich, że B. jest mężatką, a chociaż teraz z mężem nie żyje, jednak zawsze się go obawia. Na skutek tych słów nieznajomi oddalili się. W godzinę później jednak rozległo się silne stukanie i do izdebki wpadli ci sami ludzie. Przyskoczyli do łóżek, szukając Broniszewskiej przy świetle lampki z przed obrazu. W trzeciem łóżku natrafili na swoją ofiarę. Tu jeden z nich sztyletem przez kołdrę przebił serce nieszczęśliwej, poczem poderżnął jej gardło. Józefa Broniszewska zginęła, nie wydawszy ani nawet jęku. Sprawcy zbrodni wyszli spokojnie, wypuszczeni przez stróża, który nie wiedział o niczem. Współlokatorki osłupiały i dopiero po długiej chwili zaalarmowano policyę, lecz poszukiwanie morderców nie przyniosło żadnego wyniku. Zwłoki zamordowanej odwieziono do prosektoryum, gdzie je fotografowano, a rycina nasza podaje właśnie pośmiertną podobiznę ofiary.

Aresztowano w pierwszej chwili męża nieboszczki, lecz stwierdzono, że nie ma powodu posądzać go o udział w potwornej zbrodni. Okazało się, że Broniszewska pracowała w charakterze bufetowej w restauracyi Jankowskiego przy placu Witkowskiego. Mąż jej oskarżony o udział w pewnym zamachu, odsiadywał w aresztach, a wypuszczony na wolność dostał posadę w piekarni Warszawskiej. Rozeszli się małżonkowie skutkiem złego prowadzenia się Józefy, która też żyjąc już samodzielnie, została kelnerką. W ostatnich czasach zwracała się ona do męża z propozycyą pogodzenia się, widziała się z nim kilkakrotnie i zdaje się, że wkrótce byliby już Broniszewscy z powrotem zamieszkali wspólnie, gdyby nie tajemnicze morderstwo, które kres położyło życiu młodej kobiety.



Zabójstwo rewirowego: Zastrzelony rewirowy cyrkułu Towarowego w Warszawie, Makarewicz.



Tajemnicze morderstwo: Zasztyletowana w Warszawie kelnerka Józefa Broniszewska.

Zagadkowa zbrodnia.

Potworne stosunki, w jakich obecnie znajduje się Królestwo Polskie, są powodem, że zdarzają się się tam coraz częściej zbrodnie, urągające



Zagadkowa zbrodnia: Zabity w Łodzi artysta-malarz ś. p. Edward Grajnert.

wszelkim zasadom już nietylko etyki, ale wprost nie dające się wytłómaczyć.

W dzikiem zwyrodnieniu, które opanowało mieszkańców tego nieszczęsnego kraju, przychodzi też nieraz do morderstw, dokonywanych za marne pieniądze a w celach zemsty osobistej.

I znów w ubiegłym tygodniu przyszło do takiego morderstwa, którego motywy dotąd nie zostały wyjaśnione, a którego ofiarą padł w Łodzi artysta-malarz, Edward Grajnert, nauczyciel rysunków w tamtejszem gimnazyum polskiem.

W krytycznym dniu śp. Grajnert, człowiek spokojny, powszechnie lubiany, nie należący do żadnej partyi politycznej, po południu powracał z gimnazyum do domu. Na rogu ulicy Wólczańskiej i Benedykta podeszło ku niemu trzech młodych ludzi, Dwóch z nich przytrzymało Grajnerta za ręce, trzeci zaś kilkoma wystrzałami z rewolweru położył go trupem,

Na odgłos strzałów przechodnie poczęli uciekać i chować się po bramach domów. Ochłonąwszy jednak ze strachu, rzuciła się gromada robotników w pościg za mordercami, z których jednak tylko jednego ujęto, a mianowicie niejakiego Aleksandra Grobellego.

Przyznał się on do uczestnictwa w zbrodni i zeznał, że został za nią zapłacony.

Robotnicy, którzy schwytali Grobellego, złożyli nad nim sąd i rozstrzelali go tegoż dnia o g. 5 na pustym placu przy ul. Łąkowej.

Sp. Grajnert, syn Józefa, dotąd żyjącego sędziwego literata, a brat Józefa, zastrzelonego przed 12-tu laty przez W. Buchnera, redaktora „Muchy", urodził się w 1877 r. w Warszawie. Po ukończeniu szkół średnich tamże, zapisał się do krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, którą chlubnie ukończył, otrzymawszy raz srebrny, a raz złoty medal. Następnie kształcił się w Monachium i Paryżu. Dopiero od roku osiadł w Łodzi, gdzie ręka zbrodniarza położyła kres jego młodemu a pełnemu nadziei życiu.

Dotąd nie udało się policyi ani wytropić dwóch zbiegłych bandytów, ani wyśledzić motywów tej zagadkowej zbrodni.

Krwawy dramat rodzinny.

Nie ma miasta, któreby tak obfitowało w krwawe tragedye niekoniecznie na tle politycznem, lecz także w dramaty familijne, jak Warszawa w ostatnich czasach. Opiszemy tu jedno z tych zdarzeń krwawych, któremi teraz przepełnione są dzienniki warszawskie.

Na Żabiej mieści się pracownia konfekcyi damskiej Hersza J. Tylki. Właściciel mieszkał obok pracowni z całą rodziną, złożoną z siedmiu osób. Syn jego Gustaw przed paru laty ożenił się z panną Zand, pożycie jednak młodych ludzi było tak nieszczęśliwe, że małżonkowie zamieszkali oddzielnie. Trapiło to szczególniej brata Gustawowej Tylkowej, Emanuela Zanda. Przed kilku dniami przybył on do starych Tylków, u których mieszkał Gustaw od chwili rozejścia się z żoną. Pragnął porozumieć się ze szwagrem i jego rodzicami, ale snać do porozumienia się nie przyszło, skoro koniec długiej rozmowy okazał się niespodziewanie tragiczny. Oto padł szereg strzałów, a zaalarmowani tem sąsiedzi wpadli do mieszkania Tylków, gdzie znaleźli na ziemi dwa martwe ciała ojca rodziny Hersza Tylki i Emanuela Zanda, obok nich zaś wił się w boleściach w kałuży krwi Gustaw Tylka. Stara Tylkowa leżała opodal omdlała.

Okazało się, że to Zand strzelił podczas rozmowy do szwagra, ranił jednak śmiertelnie starego Tylkę; padł drugi strzał, od którego legł Gustaw Tylka. Trzecią kulą Zand odebrał sobie życie. Pogotowie ratunkowe stwierdziło śmierć dwóch ofiar, a rannego Gustawa Tylkę przewiozło do szpitala, gdzie zmarł niebawem. Załączamy jego podobiznę pośmiertną.

Aresztowanie Sieczki.

Opinia publiczna w Warszawie nie przestaje po dziś dzień zajmować się zagadkowem zabójstwem, którego ofiarą padł niedawno znany lekarz homeopata, śp. dr. Drzewiecki. Dając jego portret przed dwoma tygodniami, zamieściliśmy także podobizny jego dwu zabójców. Pamiętają Czytelnicy, że zbrodniarze wyznali w więzieniu, iż zostali przez trzecią osobę przekupieni, by zgładzić doktora.

Policya warszawska szuka owego trzeciego i nie może nabrać pewności, czy pościg jej jest na dobrej drodze. Wszystko wskazuje na to, że główną osobą dramatu, jaki rozegrał się na ulicy Smolnej, ma być ogrodnik Walenty Sieczka, który zniknął z Warszawy i z Królestwa zaraz po śmierci Drzewieckiego. Skrytobójcy przyznają, że to on ich najął do mordu.

Sieczka miał wręczyć jednemu z nich rewolwer, który, jak się okazało, należał do p. Jankowskiego, teścia Drzewieckiego. A w majątku Jankowskich właśnie w Regułach był Sieczka przez czas pewien praktykantem ogrodniczym i stąd po-

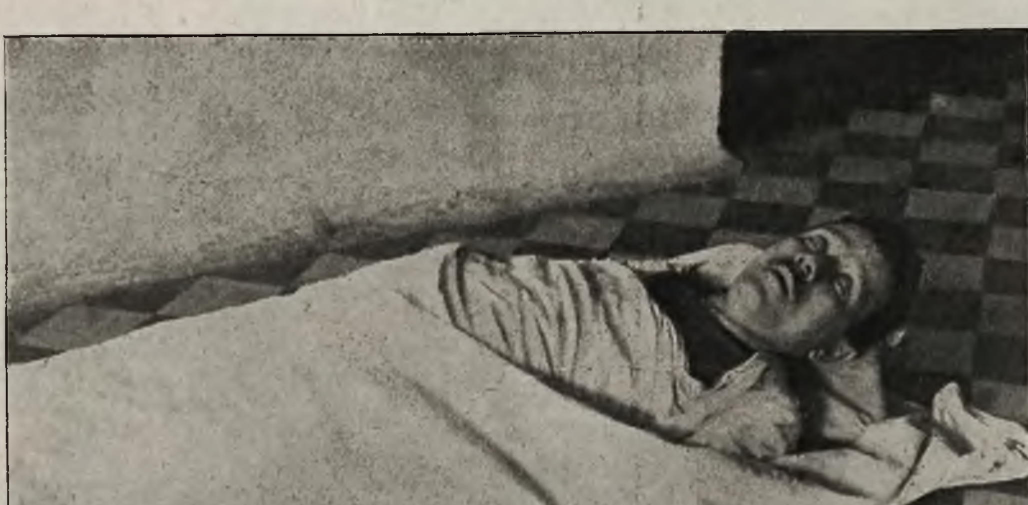


Zasłużony spoczynek: Starszy majster kominiarski, August Nowicki, który 53 lata służył w warszawskiej straży ogniowej.

szła pogłoska, że działał on w imieniu teścia zabitego doktora, który, jak wiadomo, poróżniwszy się z żoną, nie żył z nią w ostatnim czasie i prowadził procesy sądowe o cofnięcie przyznanych przedtem alimentów. W czyjem istotnie imieniu działał Sieczka, teraz będzie łatwo już dowiedzieć się, gdyż aresztowano go niespodziewanie w Krakowie.

Ponieważ ta sprawa zdaje się istotnie nie mieć podkładu politycznego, policya krakowska wydała warszawskiej Sieczkę zaraz po załatwieniu odpowiednich formalności. Umyślnie do Krakowa przybyło dwóch komisarzy policyjnych z Warszawy, dla przeprowadzenia konferencyi z komisarzem Krupińskim i sędzią śledczym drem Jendlem w sprawie tego aresztowania.

Warszawscy delegaci poznali w uwięzionym, którego podobiznę załączamy, owego Sieczkę, który był ogrodnikiem u p. Jankowskiego.



Krwawy dramat rodzinny: Jedna z ofiar strzałów Emanuela Zanda, Gustaw Tylka, syn kupca warszawskiego.



Aresztowanie Sieczki: Zamieszany w sprawę zabójstw. dra Drzewieckiego w Warszawie, a uwięziony w Krakowie Walenty Sieczka.

NA WULKANIE

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO

na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem.

21 Ciąg dalszy

Komisarz rozkazał zamknąć szczelnie ulicę Chłodną, wsiadł na konia jednego ze żandarmów, szkapę wielką i spasioną. Otoczony czterema kozakami pojechał wolnym krokiem.

Na przestrzeni pomiędzy Żelazną a Wronią stały przyciśnięte do murów gromady robotników, które nie mogły się schronić.

Jechali dalej.

Komisarz dojechał do kordonu przy ulicy Wroniej. Za linią wojska ulica była pusta i głucha, lecz od strony placu Wolskiego dolatywały jakieś głosy. Zbliżył się ku tej stronie i dojrzał opasanych kordonem policyi i wojska do pięćdziesięciu więźniów. Była to część publiczności i manifestantów, zabranych w plen przez kozaków z ulic Karolkowej i Przyokopowej.

Komisarz skinął na rewirowego:

— Stać tu do mego rozkazu.

— Słucham! — salutował.

Gdy następnie wrócił do Wroniej, kazał wzmocnić kordon i ani wpuszczać, ani wypuszczać nikogo.

Kłusem przejechał do ulicy Żelaznej i tu powtórzył ten sam rozkaz wojsku, a następnie kazał kolejno przetrząsać domy z wyłamanemi bramami i aresztować podejrzanych.

Sam zawsze w towarzystwie dwóch umundurowanych i czterech cywilnych policyantów poszedł śledzić rewizye.

Gdy Wiera Pawłowna otrzymała bilet Koli, zarumieniła się z radości, kazała prosić go natychmiast do salonu, a sama szybko podeszła do lustra poprawiła wijące się blond włosy, obciągnęła bluzkę i szybko poszła do gościa.

Stanęła w progu i zmieszała się, widząc, że obok Koli siedzi młoda i ładna kobieta, zupełnie jej nieznana.

Kola podszedł do niej, uścisnął rękę i rzekł z uśmiechem przyjaźni:

— Darujcie Wiera Pawłówna, że nadużywam waszej gościnności nietylko względem siebie, ale i siostry mego przyjaciela, którą przypadkiem spotkałem w tłumie.

Spojrzała mu w oczy, czy mówi prawdę, ale oczy jego były takie szczere, dobre i piękne, że uwierzyła mu bez wahania. Szybko podeszła do Wandy i podając rękę spytała:

— „Les amis de nos amis, sont nos amis", witam was u siebie — i zakłopotana nieznajomością imienia spojrzała na Kolę.

— Wanda Zygmuntowiczówna Balkowska pospieszył — i Wiera Pawłowna Wewern...

— To wy Polka? — zdziwiła się siadając na ubocznem krzesełku.

Wanda skinęła głową a Kola dodał:

— Polka i prawie nie zna naszego języka, chociaż tu wychowana.

— W Polsce — uzupełniła Wanda i dodała po francusku: — Byłam na manifestacyi, a gdy nas otoczono i zaczęto strzelać, pan Czerniejew ukrył mię w tej kamienicy u pani i pozwoli pani, że tu przez chwilę odpocznę po doznanych wrażeniach.

Ta szczerość Wandy, odcień powagi i wreszcie dobry akcent francuski, usposobiły korzystnie Wierę dla gościa, spojrzała na nią baczniej i zawołała:

— Ależ pani krwią powalana!... I kapelusz osmalony!

Wanda spokojnie zwróciła oczy na rękaw paltocika i powiedziała z lekkiem wzruszeniem:

— To krew towarzysza, któremu kula strzaskała ramię...

— I pani była tak blisko? I nie bała się pani? — dziwiła się.

— Czy się bałam, sama nie wiem.

— I pani znała tych ludzi?

— Osobiście nie, ale współczuję z nimi.

Wiera popatrzyła na Kolę i rzekła z uśmiechem:

— Kola Michajłowicz, czy i wy byli z manifestantami?

— Byłem i pozwólcie Wiera Pawłowna, że oczyszczę się, bo i ja splamiony krwią.

— Dieńszczyk was oczyści.

— Nie, Wiera Pawłowna; dieńszczyk nie powinien o tem wiedzieć. Tu przyjdzie rewizya po nas, jeśli zobaczą krew, zaaresztują i pannę Balkowską i mnie, musimy zmyć te plamy w sekrecie przed służbą.

— Nie wiedziałam, że to tak niebezpieczna sprawa — wstała z krzesła — idźcież do pokoju ojca i zamknijcie się, a panią zabieram do siebie i uporządkujemy ubranie.

Gdy znalazły się same w ładnym, eleganckim buduarze, Wiera krzątając się, aby przygotować wodę, mydło, spirytus, spytała:

— Pani dawno zna Kolę?

— Przed dwoma czy trzema tygodniami był z bratem moim u szwagra na wsi.

— A teraz mieszka pani w Warszawie?

— Tak jest.

— I widuje go pani często?

— Dosyć.

— Zdaje mi się... że on... stara się o względy pani.

— Nie wiem o tem.

— A pani czy on się podoba? — spytała po chwili.

— Nawet nie zadawałam sobie tego pytania... zresztą, panno Wiero, wobec rozgrywających się wypadków, wobec rewolucyi wszelkie uczucia osobiste uważam za niemoralne i nieuczciwe.

— Naprawdę? — zawołała zdziwiona.

W tej chwili dał się słyszeć tętent koni po bruku, a Wanda podeszła do okna, spojrzała i do Wiery:

— Zbliż się pani i patrz! I wobec tego, czy uczciwy człowiek może pomyśleć o osobistych uczuciach?

— Tak... może pani ma słuszność — umilkła zasępiona.

We dwie zaczęły czyścić świeże plamy krwi na paltociku, wreszcie rzekła Wiera:

— Najlepiej będzie, jeśli pani weźmie mój paltocik, bo pani będzie mokry.

— Za wiele zachodu z odsyłaniem... dziękuję, ale pójdę w swoim.

— I w tym kapeluszu? — wskazała Wiera na długą spaleniznę.

— To od kuli — uśmiechnęła się Wanda — słyszałam jej gwizd. Ten kapelusz zatrzymam na pamiątkę.

Szły w stronę salonu, Wiera zatrzymała się tuż przed drzwiami i spytała szeptem:

— Czy i Kola jest socyalistą?

— Nie wiem; niech on sam powie.

Zastały go w salonie przy oknie, przez które patrzał chmurny i zgnębiony.

— A wam co, Kola Michajłowicz? — spytała Wiera zaniepokojona.

— Patrzę bezsilny, a wy Wiera Pawłowna nie odczuwacie jak to depce i szarpie nasze uczucia ludzkie?

— Ja?... ale dlaczego oni buntują się?

— Bo chcą chleba, powietrza, nauki, chcą być ludźmi, a nie bydłem.

— Niech proszą.

— Kogo? — mówił z goryczą wzrastającą — prosili przecież w styczniu i w odpowiedzi posłano im co?

— Prawda wasza — westchnęła — i ja myślałam często o tem i ja wiem, że żądania ich są sprawiedliwe, ale cóż poradzimy? Trzeba czekać cierpliwie, ogłoszą konstytucyę, będzie Duma, może się to zmieni wszystko na lepsze.

— Czekać? — drwił Kola stojąc przed siedzącemi pannami — a czekamy już blisko tysiąc lat i zawsze ten sam ucisk ludzi słabszych i biednych!

Nigdy jeszcze Wiera nie widziała Koli tak pięknym, przemawiającego z takim zapałem, poczuła dziwną w sobie przemianę, miała wrażenie, że łuski spadły jej z oczu, że teraz dopiero widzi ten świat, rozumie cel życia i własne powołanie. Tak, to był niegodny egoizm z jej strony; pogrążona w swych dostatkach zapomniała o milionach cierpiących nędzarzy, którzy walczą o chleb codzienny, o swobodę słowa i myśli — i jaki ten Kola szlachetny, że jej to wyjaśnił, że zwrócił na to jej uwagę.

Od dziś to wszystko się zmieni i ona stanie w szeregach walczących o wolność. Zarumieniona, z błyszczącemi oczyma, wstała i wysuwając małą, ładną rękę do Koli, rzekła.

— Dzięki wam zrozumiałam prawdę. Przyjmijcie mnie, chcę i będę służyła sprawie wolności ludu w miarę mych sił i możności.

— Wy, Wiera Pawłowna?! — mówił z niedowierzaniem. — Zdaje mi się, że u was to chwilowy poryw... wasze wychowanie, wasze otoczenie tak przeciwne temu, że wkrótce odechce się wam tej pracy trudnej i niebezpiecznej.

— Odtrącacie mnie! — zawołała z żalem — nie dowierzacie mi? Dlaczegóż ja mam być gorsza od Wandy Zygmuntowiczównej? Ja wiem przecież że ona socyalistką, a nie jest starsza.

— Nie rozumiem — odezwała się Wanda — dlaczego odrzuca pan dobre chęci panny Wiery? W naszej walce każdy jest potrzebny, każdy pożyteczny. Nie siła stanowi o wartości, lecz sam duch!

— Ależ nie myślałem ani odtrącać, ani zniechęcać — usprawiedliwiał się Kola — niech się pani namyśli, niech pani przeczyta kilka naszych książek, niech się zoryentuje... a wówczas będę szczęśliwy, gdy pani stanie w jednym szeregu z nami i nie wątpię, że pani będzie bardzo pożyteczną.

— Dobrze, niech i tak będzie — mówiła Wiera — ale jeszcze dzisiaj przyszle mi pan książki, zaraz przeczytam.

— Przyniosę albo przyszlę, o ile uspokoi się na ulicy... i jeszcze jedno: najzupełniejsza tajemnica przed rodzicami i służbą; to warunek konieczny!

— Ja to wiem — uśmiechnęła się — dla własnego spokoju to zrobię.

— Naturalnie i dziś jesteśmy u pani w gościnie jako znajomi.

— No, wy Kola Michajłowicz i tak nasz znajomy... a wy chyba moja koleżanka z pensyi kijowskiej, od pani Vatrée, nie zapomni pani?

W przedpokoju odezwał się dzwonek, spojrzeli na siebie zaniepokojeni, wreszcie Wiera rzekła:

— Nie zapomnij pani... u Vatrée... to zapewne mama...

Uszu ich doleciały głosy męskie, a Kola szepnął:

— To rewizya... spokoju i zimnej krwi.

Obie leciutko przybladły, lecz równocześnie zamigotała w oczach ciekawość, jak wygląda rewizya.

Po chwili stanął w drzwiach salonu dieńszczyk i meldował po rosyjsku:

— Pan komisarz Nikiforów pyta się, czy może zrobić rewizyę za buntownikami?

— Rewizya u nas? — oburzyła się Wiera — na żadną rewizyę w nieobecności rodziców nie pozwalam. Idź i powiedz.

Czekali w milczeniu i znów stanął dieńszczyk mówiąc:

— Pan komisarz Nikiforow prosi o pozwolenie przejścia przez pokoje z jednym tylko ajentem. Powiada, że to sprawa służbowa i bardzo przeprasza...

— Pozwólcie Wiera Pawłowna, ale tylko samemu komisarzowi.

— Słyszałeś? – zwróciła się do dieńszczyka – pamiętaj, tylko sam komisarz.

Gdy dieńszczyk drzwi zamknął, szepnął cicho Kola:

— Czy zatarłyście ślady krwi w pokoju? Ja zostawiłem miednicę.

— I my — odrzekła Wiera, zrywając się z krzesła.

— Siedź pani... nie wpuść go do pokojów.

Zaledwie skończył te słowa, wszedł komisarz Nikiforow, bystro spojrzał po obecnych, skłonił się nisko i zaczął bardzo grzecznie:

— Niezmiernie mi przykro, że śmiem was pani Wiera Pawłówna niepokoić, ale służba... Mówiono mi, że u was skryli się buntownicy i pozwolicie zrobić rewizyę.

— Nie wiem, kto panu mówił — powiedziała z obojętną grzecznością — może i są, ale ja drzwi nie otwieram, mogłeś się pan dowiedzieć u dieńszczyka.

Oczy jego zabłysły gniewnie, lecz głos i postawa pozostały w dalszym ciągu bardzo uprzejme...

— Tak na dole, jak i dieńszczyk mówił mi, że w czasie buntu wszedł tu ktoś — spojrzał na Kolę — i z urzędu mego muszę żądać wyjaśnienia. Czy istotnie w czasie, gdy partya przewrotowa usiłowała wywołać bunt i po włamaniu się ich do tej kamienicy przyjęliście kogo, Wiero Pawłowno?

— Nie należę do policyi — odpowiedziała ze złośliwem lekceważeniem — nie wiem o żadnym buncie. Widziałam ludzi spokojnie idących, śpiewali i nie wiem kto wydał rozkaz strzelania.

— To ja, z mego obowiązku i na wyraźny rozkaz.

Obie spojrzały na Kolę, który przybladły spuścił oczy, a komisarz mówił dalej:

— Nie idzie o bunt, ten zduszony, teraz muszę aresztować manifestantów. Czy skrył się króry z nich u pani?

— Z moją wiedzą żaden.

— A ten pan? — wskazał na Kolę.

— Więc o mnie pan pyta? — udał Kola zdziwienie — czemuż pan natychmiast nie zwrócił się do mnie? Proszę pana, oto moja legitymacya — i nie wstając z krzesła, wyciągnął książeczkę.

— Nie zechciałby pan mi jej wręczyć? — spytał komisarz z powstrzymaną pasyą.

— Nie... i przypominam panu, że obowiązkiem pana być grzecznym. Pan żąda, ja poddaję się rozkazowi... a nie chce pan, to i dobrze — zrobił ruch chowania książeczki.

— Wezmę — rzekł komisarz — ale tylko ze względu na obecność pań.

— To mi obojętne.

Komisarz spojrzał w książeczkę, a dojrzawszy imię, nazwisko i tytuł ojca, zbladł, zgiął się w pół w ukłonie i bełkotał:

— Najpokorniej przepraszam, ale nie wiedziałem... upewniano mnie, że tu wszedł agitator... Co za fatalna pomyłka! przepraszam, niechże mi pan przebaczy... to z gorliwości służbowej! — i mówiąc to, cofał się tyłem do drzwi, znów skłonił się głęboko i wyszedł, a wkrótce posłyszeli surowy głos komisarza i usprawiedliwienia się dieńszczyka.

— Na ten raz uniknęliśmy aresztowania i rewizyi — zaśmiała się Wanda.

— Mylicie się — rzekł Kola — teraz Nikiforow dom cały przewróci, aby znaleźć agitatora, przypuszczam że to znaczy moją osobę, nie znajdzie i rozstawi tu ajentów, aby schwytali winnego.

— Czy naprawdę? — zaniepokoiła się bardzo Wiera.

— To przecież jasne — uśmiechnął się — już w czasie pochodu zauważyłem, że jakaś figura łazi mi po piętach, ten sam ajent powiedział, żeby nie dobijać się do bramy, bo wojsko w podwórzu, za co został poturbowany. A teraz ten mądry komisarz wygadał się, że mówiono mu o mnie na dole i potwierdził dieńszczyk, że tu jestem. Z powodu mego nazwiska uniknąłem jego łapy, ale będzie na tyle sprytny, że każe mnie śledzić i poznać, czy istotnie jestem poszukiwanym agitatorem.

— Czy jesteście tego pewni? — spytała niedowierzająco Wiera.

— Za chwilę was przekonam... My jednak nie widzieliśmy się dawno?

— O dawno... Ostatni raz przy Zamku, w dniu gdy ojciec wasz otrzymał nominacyę na generał-gubernatora wojennego. Czy pamiętacie?

— Tak, przypominam sobie — i zaczęła się rozmowa o wypadkach dawniejszych i o nowszych.



Zastały go w salonie przy oknie, przez które patrzał zachmurzony,...

Kola spojrzał na zegarek, wskazujący drugą godzinę.

— Kiedyż powróci wasza mama?

— Miała kilka wizyt... pewno spóźni się.

— Zajrzyjcie Wiera Pawłowna, czy ulica jeszcze zamknięta kordonem

— Zaraz — wyszła na balkon i po chwili dodała wracając: — właśnie ściągają kordon i prowadzą uwięzionych.

— Zobaczcie, czy nie prowadzą Logiki - zwrócił się do Wandy — sam nie chcę wychodzić, bo może być szpieg w pobliżu, stanę w oknie.

Obie panny wyszły i patrzyły. Więźniów prowadzono partyami. Niektórych poznawał Kola; szli śmiało, ostro.

Ciężko rannych zabrało pogotowie. Wśród prowadzonych nie dostrzegli Logiki.

— Nie było jej — mówiła Wanda z uczuciem ulgi.

— Może znalazła schronienie, a może aresztowano ją poprzednio... dowiemy się. A teraz Wiero Pawłowno, pozwólcie mi pogadać z dienszczykiem — skierował się do przedpokoju, zostawiając drzwi otwarte do salonu.

— Jak ty się nazywasz? — spytał surowo.

— Fiedor Konstantynowicz Rulew.

— Ty otwierałeś drzwi komisarzowi — a na potakujący znak dodał: — z nim był iszczyk, widziałeś?

— Nie wiem, czy to był iszczyk, ale był drugi, miał twarz obwiązaną.

— Poznasz go na ulicy?

— Dlaczego nie? Poznam wśród stu.

— Masz tu rubla, kupisz sobie papierosów, reszta twoja. Pójdziesz kuchennemi drzwiami, rozejrzysz się dobrze w podwórzu, w sieniach, na ulicy z jednej i drugiej strony, szukaj tego iszczyka z przewiązaną twarzą. Jeśli go znajdziesz, udaj, że go nie znasz. Rozumiesz?

Dieńszczyk roześmiał się i rzekł:

— Jakże mam udać, kiedy go znam, to przecież Hadziar, ale to nie żaden iszczyk, służy na posyłki u pana komisarza.

— A więc tak... tem lepiej. Zobacz więc, czy Hadziar jest blisko bramy lub schodów i daj mi znać. Ty wiesz, kto jestem?

— Nu wiem, że wy znakomita osoba.

— Chcę kogoś pewnego posłać do oberpolicmajstra, bo tu działy się nieporządki na ulicy. Dowiedz sie, ale sprytnie, czy Hadziar nie poszedłby, dam mu list przez ciebie. A teraz idź i wracaj prędko.

Wszedł do salonu, zamknął drzwi.

— Wiecie, sprawa się wikła. Przypuszczam, że ten śledzący mnie ajent, to Hadziar, znajomy dieńszczyka i jeśli dziś uda mi się wyjść niepostrzeżenie, on wiedząc moje nazwisko, jutro czy pojutrze dowie się o mnie; idzie mi o czas.

— I co z tego? — uśmiechnęła się Wiera — wam nic nie zrobią.

— Mylicie się — mówił zasępiony — mój ojciec jest surowy, ale i sprawiedliwy. Przy lada podejrzeniu na mnie pozwoli żandarmom zrobić rewizyę u siebie... no i ładne rzeczy mogą się wykryć.

— Więc schowajcie u nas — odezwała się Wanda — a resztę zniszczcie.

— Myślę o tem, poradzę się z towarzyszami... jakoś się zrobi.

Wkrótce nadszedł dieńszczyk i zameldował Koli:

— Hadziar stoi przed domem, nie chce iść do ratusza, upiera się, że komisarz kazał mu stać... Cóż zrobić z głupim?

— No tak... a innego nie było?

— Gdzież tam! Dzisiaj? Wszyscy zajęci buntownikami.

— To dobrze... dziękuję ci.

Gdy zamknął drzwi, rzekł półgłosem:

— Wiera Pawłowna pożyczcie mi szynela i czapki ojca, muszę się przebrać. Wy obie wyjdźcie i dla waszego bezpieczeństwa weźcie ze sobą dieńszczyka, nie chcę, aby był w domu. Uważajcie, czy nie da on znaku Hadziarowi, gdyby dał, wróćcie Wiera do domu na chwilę. A i wy Wando weźcie inny kapelusz, inną okrywkę... ostrożność nie zaszkodzi.

— W szafie u ojca znajdziecie szynel i całe ubranie wojskowe. Ja zajmę dieńszczyka w jadalnym pokoju, a wy udacie, że wychodzicie i zamkniecie się w gabinecie ojca... Dieńszczyk może mu teraz dawać znaki — zaśmiała się wesoło i do Wandy rzekła: — Chodźcie, przebierzemy się i pójdziemy...

I stało się według planu Wiery. Wandę ubrała w swój kapelusz i paltocik, a dieńszczyka tak zajęła, że Kola miał czas wyjść, wrócić i zamknąć się w pokoju pułkownika.

Po chwili słyszał wychodzące panny, stuk butów towarzyszącego im dieńszczyka. Szybko przebrał się w mundur i w jakie dziesięć minut wyszedł na ulicę.

Niedaleko bramy spostrzegł stojącego przed wystawą sklepową Hadziara i mimo obwiązanej twarzy poznał w nim ajenta, który śledził go w tłumie. Hadziar rzucił okiem na wychodzącego z kamienicy, ale widząc mundur, znów ciekawie przyglądał się małej wystawie sklepikowej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kardynał dyplomata.

Pius X, osobistość zarówno dla katolików, jak i akatolików niezmiernie sympatyczna, człowiek, który tylko swym osobistym zaletom zawdzięczać



Kardynał dyplomata: Kardynał sekretarz-stanu Merry del Val, mający wkrótce ustąpić.

może wyniesienie na Stolicę Apostolską — jest typem zupełnie odmiennym, niż jego poprzednik ś. p. Leon XIII. Nigdy nie zajmował się wielką światową polityką, spełniał wzorowo swe obowiązki jako wikary, proboszcz, a wreszcie patryarcha wenecki, ale brakować mu musi znajomości tych „arkanów“ dyplomatycznych, w których celował poprzedni papież.

Kardynał Merry del Val, sekretarz stanu, kierujący obecnie z ramienia papieża Piusa X zagraniczną polityką Watykanu, już kilka razy potknął się fatalnie.

Dość przypomnieć jego umizgi do Rosyi, a w ostatnich czasach zerwanie stosunków z Francyą — „najwierniejszą córką Kościoła“ — aby przytomnić sobie jego niezręczne postępowanie z tymi, którzy wiernie stoją przy Rzymie.

Już za czasów Leona XIII-go przychodziło do bardzo ostrych konfliktów między Watykanem a Rzecząpospolitą francuską — wielki takt jednak zmarłego papieża umiał je załagodzić. Teraz stało się inaczej. Po zerwaniu konkordatu z Francyą, zastępcą odwołanego nuncyusza został ks. Montagnini, a skonfiskowane w nuncyaturze paryskiej dokumenty wykazały całą nieudolność tego prałata, którego naiwne notatki poprostu skompromitowały mnóstwo osób ze świata dyplomatycznego tak Francyi jak i zagranicy.

Zdaje się, że wymieniony kardynał — ulubieniec obecnego Ojca św. — osiągnąwszy w stosunkowo bardzo młodym wieku, bo licząc lat 38, wysoką godność kardynała sekretarza stanu, będzie zmuszony opuścić swe stanowisko. Padnie on ostatecznie ofiarą swego temperamentu, który go uniósł niepotrzebnie w sprawie zatargu z Francyą i to właśnie wówczas, gdy należało użyć całego aparatu dyplomatycznego, aby z jednej strony nie popychać francuskiego rządu do ostateczności, a z drugiej — nie wystawiać na próbę wierności katolików francuskich.

Postępowy władca azyatycki.

Cywilizacya europejska, jeżeli nie w swym całokształcie to przynajmniej w zastosowaniu do komfortu i sportu, wciska się zwolna w najbardziej oddalone zakątki świata. Któżby np. lat temu 50, lub nawet 20, mógł sobie wyobrażać dumnego emira Afganistanu, składającego wizytę angielskiemu wicekrólowi Indyj i korzystającego tam z rozmaitych dobrodziejstw kultury zachodniej, jak koleje żelazne, automobile itp.

A przecież przyszło do tego. Nie dawno temu bawił na terytoryum cesarza Indyj Edwarda, Habib Ullah, emir Afganistanu, o czem zdawaliśmy sprawę swego czasu w „Now. Illustr.“, jako gość wicekróla, lorda Minto.

Dziś podajemy z jego pobytu tamże interesujące zdjęcie, które przedstawia chwilę, gdy wraca on automobilem w towarzystwie swego gospodarza z polowania na tygrysy.

Jak to się jednak czasy zmieniają! Do bardzo niedawna jeszcze jedynie słoń służył do łowów na tego dzikiego zwierza, gdy wyprawiali się nań książęta hinduscy i wielcy panowie angielscy — dziś stalowy rumak, odżywiany benzyną, zastąpił jego miejsce.



Postępowy władca azyatycki: Emir Afganistanu Habib Ullah, powracający automobilem w towarzystwie wicekróla Indyj z polowania na tygrysy.

Nowy proboszcz ewangielicki w Krakowie.

Krakowska gmina ewangielicka znalazła się w dość trudnem położeniu po śmierci swego dotychczasowego, pełnego zasług i cieszącego się ogólnemi sympatyami pasterza, ś. p. Jerzego Gabrysia. W łonie jej przyszło do nieporozumienia, co do wyboru nowego proboszcza, a to z powodu, że starły się ze sobą dwa stronnictwa: jedno z charakterem czysto polskim, drugie zaś, któremu narodowość przyszłego duszpasterza była kwestyą zupełnie obojętną. Na szczęście pierwsze z nich zwyciężyło, przeprowadziwszy wybór dotychczasowego wikarego w zborze ewangielickim w Ligotce kameralnej, na Śląsku austryackim, Karola Kulisza na nowego duszpasterza gminy ewangielickiej w Krakowie.



Nowy proboszcz ewangielicki w Krakowie: Pastor Karol Kulisz, wybrany proboszczem gminy ewangielickiej w Krakowie.

Obecny proboszcz jest dzieckiem ludu śląskiego, urodził się bowiem pod Cieszynem, w okolicy

rdzennie polskiej i liczy obecnie lat 34; funkcye duchowne spełnia od lat dziesięciu.

Od początku swej działalności stał się pastor Kulisz inicyatorem ruchu ewangelizacyjnego, który zmierza do łagodzenia różnic między wyznaniami chrześcijańskiemi, a do podnoszenia i umoralnienia ludu polskiego w prastarej dzielnicy Piastów. Upatrując słusznie we wstrzemięźliwości jednę z głównych dźwigni odrodzenia się naszego ludu, jest on bardzo gorliwym jej propagatorem i osiągnął już znakomite na tym punkcie rezultaty w gminie gdzie pracuje.

* * *

Nie można jak tylko powinszować gminie ewangielickiej krakowskiej, że uczyniła tak trafny wybór, pozyskując dla siebie w osobie pastora Kulisza duszpasterza w pełni sił, ożywionego gorącym zapałem do pracy społecznej i prawdziwego Polaka patryotę.

Regulacya Rudawy.

Jeden z najmniejszych dopływów Wisły po lewym jej brzegu — Rudawa — od dawnych czasów dawał się mocno we znaki mieszkańcom Krakowa.



Fot. W. Lis, Kraków.

Regulacya Rudawy: Ujście Rudawy pod klasztorem Zwierzynieckim tak, jak dziś wygląda.

Ilekroć „naszych rzek królowa“ wzbierała silniej, część jej wód cofała się do Rudawy, zalewając następnie niżej położone części miasta w okolicach jej koryta, jak ul. Garncarską, Wolską, Felicyanek, Zwierzyniecką i t. d.

Naturalnie, że w miarę tego, jak masa wód była większa, rozmiary powodzi zwiększały się także, powodując prawdziwe klęski. Nadługo np. pozostanie w pamięci Krakowian straszny wylew Wisły w 1903 roku, który spowodował w samym Krakowie, nie licząc gmin podmiejskich, straty przenoszące milion koron. I znów w tym wypadku zawiniła nieszczęsna Rudawa.

Po wielu latach bezowocnych starań, udało się wreszcie naszej reprezentacyi w Wiedniu, za rządów gabinetu dra Körbera uzyskać realne przyrzeczenie regulacyi Wisły i Rudawy, w związku z olbrzymim niestety dotąd na papierze tylko wykonanym planem budowy dróg wodnych w północnych prowincyach monarchii austryackiej.

Dotąd praktycznych rezultatów owych projektów nie widzimy, z wyjątkiem jednego pocieszającego faktu — że wreszcie zabrano się do regulacyi Rudawy, co, trzeba pamiętać, połączone było ze znacznemi ofiarami ze strony gminy m. Krakowa. Musiała ona bowiem za duże pieniądze wykupić młyny tzw. górne i królewskie, z powodu przywiązanej do nich Młynówki, tj. rękawa Rudawy, a następnie ponieść będzie musiała koszta zasypania koryta Rudawy i Młynówki, na przestrzeni miejskiego terytoryum.

Pracę nad przełożeniem koryta Rudawy, począwszy od młynu w Mydlnikach aż do jej ujścia do Wisły pod klasztorem SS. Norbertanek na Zwierzyńcu, tj. na przestrzeni 4 kilometrów, rozpoczęto pod niezbyt pomyślnymi auspicyami. Z jednej strony niesłychanie spóźniona tegoroczna wiosna, utrudniająca ją w terenie dość wilgotnym, a z drugiej strony wmieszanie się niepowołanych żywiołów, wzywających robotników do strajku niewiadomo „cui bono“, opóźniły rozpoczęcie robót w szybszem tempie. Dzięki jednak energii odnośnej władzy, szczególniej zaś gdy zapewniono należytą opiekę robotnikom, którzy chcą pracować, jest teraz nadzieja, że przekop nowego koryta będzie w zamierzonym czasie uskutecznionym.

Kierownictwo robót na miejscu spoczywa w energicznem ręku rządowego inżyniera p. Władysława Skoczyńskiego, któremu przydzielono do pomocy p. Bolesława Darowskiego, praktykanta budownictwa. Nowe koryto Rudawy zostanie brukowane i będzie mierzyło na dnie 6 metrów szerokości, zaś górą 23 metry skutkiem wałów ochronnych, znacznie przewyższających najwyższy możliwy stan wody w Rudawie; boki koryta zostaną na wysokość jednego metra wyłożone kamieniem ciosanym.

Skutkiem tego, że cała Rudawa będzie teraz uchodziła do Wisły obok klasztoru Zwierzynieckiego i to nie pod kątem prostym, a przy tem będzie posiadała tak wysokie wały ochronne — niebezpieczeństwo powodzi z jej strony jest wykluczone.

Plan robót obliczono na trzy lata. Gdyby jednak znalazła się odpowiednia liczba robotników (w chwili, gdy piszemy te słowa, pracuje ich przeszło 200), mogą być one w ciągu dwóch lat dokonane.

Należy przytem podnieść prawdziwą zasługę nadradcy budownictwa przy namiestnictwie we Lwowie, p. Ingardena, który plany obecnej regulacyi Rudawy opracował i przyczynił się znacznie swoją ingerencyą do ich wykonania.

Szereg interesujących zdjęć, jakie zamieszczamy w dzisiejszym numerze naszego pisma, daje obraz prac, będących w pełnym toku. Między niemi zasługują na uwagę: widok chwilowych mieszkań pozamiejscowych robotników, gdzie pod ochroną przedstawicieli władzy bezpieczeństwa, mogą spokojnie spoczywać bez obawy napaści ze strony indywidyów, chcących im przeszkadzać w pracy, dalej widok burzonych na Zwierzyńcu domków, które stanęły w poprzek nowemu biegowi Rudawy, a z którymi zniknie znów część charakterystycznego przedmieścia Krakowa, a wreszcie stare ujście Rudawy z pod młyna klasztornego, skazanego również na zagładę.



Fot. W. Lis. Kraków.

Regulacya Rudawy: Inżynier Władysław Skoczowski (po lewej stronie) i asystent budownictwa Bolesław Darowski, kierownicy techniczni regulacyi.



Fot. W. Lis, Kraków.

Regulacya Rudawy: Tymczasowe baraki, gdzie mieszkają zamiejscowi robotnicy.

Kierownik polityki japońskiej.

Nadzwyczajne powodzenie Japonii w przyswajaniu sobie zdobyczy kultury europejskiej, ukoronowane zwycięską wojną z Rosyą, przykuwa ciągle uwagę cywilizowanego świata do „państwa wschodzącego słońca“.

Japonia, tak jak dziś rzeczy stoją, zajęła równorzędne miejsce obok siedmiu innych mocarstw światowych, t. j.: Anglii, Niemiec, Austro-Węgier, Włoch, Francyi, Rosyi oraz Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, jako ósme mocarstwo. Przymierze zaś zawarte z W. Brytanią, wzmocniło jej stanowisko na Dalekim Wschodzie, gdzie powołaną jest niezawodnie do odegrania roli pierwszorzędnej.

Nic też dziwnego, że obecnie, gdy mikado wysłał do Europy swego bliskiego kuzyna, ks. Fuszimi, wszystko, co dotyczy politycznych stosunków japońskich, budzi żywy interes w Europie. Na stosunki te wywiera oczywiście z racyi swego stanowiska wpływ kierujący, obecny prezydent ministrów, margrabia K. Sajondżi, którego portret dziś zamieszczamy.

Japoński premier liczy obecnie lat 58, pochodzi z arystokratycznego rodu Kuge. Już we wczesnej młodości wyjechał do Enropy w celach kształcenia się i bawił kilka lat w Paryżu. W r. 1879 powrócił do ojczyzny. Założył on wtedy z przyjacielem swym, Nosahisa Macudu, obecnym ministrem sprawiedliwości, skrajnie liberalny dziennik p. t.: „Tajo-Dżiu-Szimbun“ (Wolną prasę wschodnio-azyatycką). W dzienniku tym popierał zasady wolnomyślne, które sobie wyrobił podczas pobytu w stolicy Francyi. Nieraz nawet w tym kiorunku szedł zadaleko, pragnąc żywcem przenosić na grunt japoński instytucye i urządzenia francuskie.

Mikado, oceniając jego zdolności i znajomość stosunków europejskich, mianował go w 1885 r. posłem przy dworze wiedeńskim, gdzie przebywał dwa lata, poczem w tym samym charakterze wysłano go do Berlina. Po raz pierwszy piastował tekę ministeryalną margrabia Sajondżi w latach 1892—1896 jako minister oświaty. W roku 1898 znów objął tę tekę, lecz musiał wkrótce ustąpić z powodu choroby.

Gdy sędziwy margrabia Ito, główny kierownik polityki japońskiej i przywódca partyi postępowej zamianowany został prezydentem „Tajnej Rady“. (Su-Mion-In), objął po nim margrabia Sajondżi kierownictwo tej partyi.

W początkach zaś ubiegłego roku mikado powierzył mu utworzenie gabinetu, na którego czele dotąd pozostaje, wzmacniając swą rozumną i umiarkowaną polityką mocarstwowe stanowisko Japonii.



Fot. W. Lis, Kraków.

Regulacya Rudawy: Żandarmi i ajenci policyjni, chroniący robotników, którzy pracują, przed napaścią.

Demonstracya w Atenach.

Macedonia, która tyle sprawia kłopotu dyplo[macyi] Europejskiej pomimo, że zaprowadzono w niej zreformowaną żandarmeryę turecką pod do[wó]dztwem oficerów europejskich, dała znów znak życia podczas pobytu króla Wiktora Emanuela w Atenach. Jak z załączonej ryciny widać, grupa wychodźców macedońskich pochodzenia greckiego, urządziła demonstracyę w chwili, gdy król włoski zwiedzał stolicę Grecyi, a to w celu zwrócenia uwagi Europy na krzywdy, które jakoby ponosi narodowość grecka pod panowaniem Turcyi w okolicach z ludnością mieszaną.

Moment do takiej demonstracyi był dobrze wy[-]brany, bo jak wiadomo Czytelnikom, Włochy, asp[i]rując same na Albanię, gotowe są popierać zakus[y] Grecyi na część Epiru, na Tessalonię i nawet d[...]



Fot. W. Lis, [...]

Regulacya Rudawy: Przekopywanie nowego koryta na błoniach krakowskich.

...ko poza Salonikę. Tymczasem jednak okolice te, są w przeważnej części zamieszkałe przez ludność słowiańską: Bułgarów i Serbów, lub też przez Kucowołochów, tak, że o hegemonii żywiołu greckiego w tamtych stronach nie może być mowy. Nie przeszkadza to jednak, że bandy Greków, którzy w otwartem polu nie umieją nikomu stawić czoła, zdradziecko mordują w Macedonii swych współobywateli innej narodowości, czem oczywiście wprawiają w zachwyt władze tureckie. W Konstantynopolu bowiem oddawna zasadą jest: „divide et impera“.

Policya ateńska starała się wprawdzie delikatnie odsunąć rozbójników grecko-macedońskich od udziału w przyjęciu Wiktora Emanuela, nie udało się to jednak widocznie, skoro możemy podać ich podobiznę w dzisiejszym numerze naszego pisma.



Fot. W. Lis, Kraków.

Regulacya Rudawy: Burzenie domów naprzeciw klasztoru Zwierzynieckiego, które znajdują się na drodze nowego koryta Rudawy.



Kierownik polityki japońskiej: Margrabia K. Sajondżi prezydent japońskiego gabinetu.

Od Administracyi.

Zawiadamiamy naszych P. T. Abonentów w Galicyi, że ile razy nie otrzyma kto numeru najpóźniej w sobotę rano, powinien wnieść reklamacyę nie do naszej Administracyi, lecz jedynie do urzędu pocztowego, z którego adresat odbiera „Now. Illustr“.

W tym celu należy zaopatrzyć się w tak zwany „arkusz wywiadowczy“ (Nr. 98 z r. 1903), który to druk każdy urząd pocztowy na życzenie ma obowiązek dostarczyć bezpłatnie. Arkusz ten, wypełniwszy należycie (na pierwszej stronie), należy złożyć w odnośnym urzędzie pocztowym, który sam poczyni odpowiedne poszukiwania zagubionego numeru pisma.

Gdyby po tygodniu reklamacya taka nie odniosła skutku, poszkodowany prenumerator może się zwrócić z zażaleniem do urzędu pocztowego „Kraków 2“ (okólnik Dyrekcyi poczt we Lwowie, osobna odbitka z r. 1906).

Pismo nasze oddajemy poczcie w Krakowie regularnie w piątek rano o szóstej, to też każdy z Prenumeratorów powinien je odbierać już w piątek, a w dalszych stronach kraju, najpóźniej w sobotę rano.



...emonstracya w Atenach: Grecy z Macedonii, demonstrujący podczas wjazdu do Aten króla włoskiego Wiktora Emanuela III.

Niezwykła zbrodnia.

POWIEŚĆ KRYMINALNA

przez **Goron'a,** byłego szefa bezpieczeństwa w Paryżu.

Tłomaczyła z francuskiego Marya S.

5 (Ciąg dalszy).

Sędzia mógł w jednej chwili przerwać tę niemiłą mu scenę, żandarmi stali za drzwiami. Ale znajdował pewną przyjemność, słuchając skargi pokornej ofiary.

— Nie możesz pan chyba zaprzeczyć, że jestem wyjątkowo życzliwy, jeżeli pozwalam panu tak dalej mówić.

— Życzliwy! Pan?! Oh! żałuję jedynie, że stanowisko i okoliczności nie dozwolą panu zakosztować tych męczarni, jakie mi zadajesz. Jako karę za pańskie ohydne postępowanie życzę panu, byś kiedyś dostał się w szpony podobnego potwora, jakim sam jesteś.

— Dosyć! — zawołał Germonpré.

— Tak, tak! potwora!

I tracąc panowanie nad sobą, oskarżony bijąc wściekle pięściami o biurko, ryczał przeraźliwie:

— Tak, jesteś pan łotrem, łajdakiem, mordercą! Postąpiłeś jak ostatni bandyta, przyjmując tę sprawę, którą na miejscu pana odrzuciłby najmniej nawet skrupulatny człowiek. Ale ty podły! Chciałeś nasycić swoją zemstę.

Germonpré musnął guzik od dzwonka i w tejże chwili wpadło do pokoju dwóch ludzi.

Zdawali się nie być zdziwieni widokiem rozgorączkowanego Morinvala, który stał jeszcze naprzeciw ironicznie uśmiechniętego sędziego. A może nawet słyszeli ostatnie jego słowa.

Jeden z tych ludzi, gruby, czerwony, zmęczony, z wstążeczką orderową w dziurce od guzika, przystąpił szybko do p. Germonpré, mówiąc:

— Rzecz bardzo ważna! bardzo ważna! Proszę czytać. — Wyciągnął z kieszeni duży, urzędowy list.

— Pan sędzia wybaczy to uchybienie formom, ale okoliczności nas naglą. Zabieram pana natychmiast do szpitala. Pan komisarz będzie nam towarzyszył. Ten człowiek jeszcze żyje. Prędko! prędko! Kapelusz pana!

Po przeczytaniu listu twarz sędziego zzieleniała; na skronie wystąpiły duże krople potu.

— Ależ panie prokuratorze — wyszeptał z trudnością — oskarżony nie podpisał jeszcze zeznania...

— Później, później!

— Każę go odprowadzić do więzienia.

— Po co? Ten pan może zechce tu poczekać! No, dalej! prędko, nie ma chwili do stracenia!

Oszołomiony, nieprzytomny sędzia z trudnością zdołał odnaleźć płaszcz, czapkę; poczem zawołał żandarma.

Weszli i niezwłocznie zabrali się do skucia więźnia.

— Kajdanki! — zawołał zdziwiony prokurator. — Ależ to niepotrzebne! Zupełnie niepotrzebne! Pozostaniecie tutaj z panem... ponieważ już tu jesteście. Poza tem nic.

Urzędnicy wyszli. W pokoju został protokolant z otwartemi ze zdziwienia ustami i oskarżony, ogłuszony, nieprzytomny, nie zdający sobie sprawy z tego nagłego wydarzenia.

Musiało się stać coś bardzo ważnego. Dlaczego prokurator nazywał go „panem“. Przez roztargnienie zapewnie. Ale dlaczego nie pozwolił go odprowadzić do celi i kazał pozostawić tutaj? Cóż to wszystko ma znaczyć?

Kilka słów wyrzeczonych przez żandarma wprawiło go w ostateczne osłupienie.

— Hej, kolego! Zdaje się, że naszemu sędziemu nie będzie bardzo wesoło.

— I ja tak myślałem — odpowiedział drugi żandarm — widząc, jak za przeproszeniem jego osoby, pan prokurator biegł aż się za nim kurzyło, a ciągle w drodze powtarzał do komisarza:

— Okropna pomyłka! To jego wina! No, będziemy mieli ładną historyę!

— Pomyłka? Czyżby nareszcie prawda wyszła na jaw?

— Nie, nie — szepnął Morinval — nie czynię sobie żadnej nadziei. Jestem zgubiony, na zawsze zgubiony!

ROZDZIAŁ IV.

Bezdomny.

Berton-Morinval zajął był się niegdyś i zaopiekował sierotą bezdomnym Julianem Malpert. Pracowity, inteligentny, uczciwy, zyskał sobie chłopiec prędko zupełne zaufanie chlebodawcy, który przeznaczył go do swoich osobistych usług. Niestety, Julian miał jedną straszną wadę, o którą Morinval nie podejrzywał go nawet. Grał z namiętnością w totalizatora i zawsze przegrywał.

Wyczerpawszy swoje oszczędności, okradł swojego pana w tej myśli, że pieniądze zabrane zwróci przy pierwszej wygranej. Lecz pochwycony, nie bronił się, tylko błagał o przebaczenie, przyrzekając, że się to nigdy więcej nie powtórzy. Wiadomo jednak, że przysięga gracza jest słomianym ogniem; wkrótce po raz wtóry zajrzał do kasy p. Morinvala.

Fabrykant byłby i tym razem jeszcze przebaczył, ale żona jego wymogła na nim natychmiastowe odprawienie Juliana.

Pani Morinval chwytała w lot okazyę pozbycia się protegowanego męża; chłopak przed niedawnym czasem śmiał jej ubliżyć wobec służby. Zrozpaczony i choć na krótki czas uleczony z tej fatalnej namiętności Malpert, przez kilka tygodni powracał do dawnych swoich państwa, błagając o litość i przebaczenie. Pani Morinval została nieubłaganą,

Jakiś czas wałęsał się po bruku bez grosza w kieszeni, nareszcie udało mu się znaleźć miejsce chłopca sklepowego w aptece, znajdującej się w rynku. Nowy jego pryncypał był ostry, wymagający, pożywienie było nędzne, a wynagrodzenie nadzwyczaj małe.

Napróżno Julian sobie powtarzał, że mu nie wolno tej służby porzucać, że w końcu choć nie odpowiada całkiem jego pragnieniom, ma przecież dach nad głową i pewność, że nie skończy głodową śmiercią, rozumiał, że nie ma innego wyjścia — chyba rzucić się do Loary... Mimo to jednak z trudnością mógł wytrwać na nowem stanowisku.

I przez dziwną ironię ilekroć zdołał zdobyć się na kupienie dziennika, wyczytywał w nim wymienioną sumę wygranych na wyścigach... Chęć do gry, do wzbogacenia się, wybuchła teraz z podwójną siłą.

Nienawidził prawie dawnych państwa, których w swej niewdzięczności nazywał egoistami, skąpcami. Cóż dla nich stanowiły te marne kilkaset franków, które byłby im z pewnością później zwrócił? Żal jego zwracał się przeważnie do pani Morinval.

Pewnego dnia spojrzał na nią trochę za gorącym wzrokiem. Dumna mieszczanka obraziła się i postarała się ukarać za tę śmiałość. Oh, ta kobieta! Z jaką przyjemnością zemściłby się na niej za tę pogardę... Chęć zemsty stała się wkrótce jego myślą przewodnią. Postanowił zakończyć tę sprawę.

Pewnego poranku spostrzegł robiąc porządki, że szafa zawierająca trucizny nie była zamknięta, a klucze wisiały przy zamku. Otworzył i zabrał z półki maleńką flaszeczkę, na której widniał napis: „kwas pruski“. Do przygotowanego flakonika nlał kilka kropel trucizny, poczem flaszeczkę postawił na miejscu, by zatrzeć wszelki ślad kradzieży.

Słyszał raz, jak pryncypał mówił, że kwas ten jest straszną gwałtowną trucizną, lecz traci swe zabójcze własności, gdy nie jest szczelnie zabezpieczony. Julian postanowił się otruć jeszcze tego samego dnia. A jego zemsta? Nie myślał o niej, mając na celu osobiste wyzwolenie, spokój, śmierć bez cierpień.

Stało się, że tego wieczora pryncypał, stary kawaler, wyszedł wbrew zwyczajowi na kilka godzin i uwolnił od zajęć Juliana i służącą, nie oznaczając im godziny powrotu. Julian wyszedł na spacer po raz ostatni, pragnąc jeszcze zobaczyć przed śmiercią znane miasteczko.

Przypadek zawiódł go przed dom Bertona-Morinvala.

Zobaczył go wchodzącego do mieszkania z głową ku ziemi spuszczoną, zatopionego w głębokich myślach. Tchnięty niewytłómaczonem pragnieniem usiłując szczerze zmiękczyć go prośbą, Julian szedł za nim. Kto wie? Może tym razem Morinval okaże się względniejszym dla niego? A wtedy nie potrzebowałby umierać. Bo pomimo wszystkiego, ciężko mu było umierać tak młodo!

Przemysłowiec nie dał mu prawie przyjść do słowa. Był wyjątkowo podniecony i zdenerwowany Zabronił mu raz na zawsze pokazywać się w ich domu, a gdy chłopak obiecywał poprawę i błagał litości, dodał ostro:

— Moja żona słusznie postąpiła, wymagając odemnie twojego usunięcia. Gra jest straszną namiętnością. Będziesz zawsze złodziejem! Wychodź, nie uzyskasz mojej litości.

Zrozpaczony, nie przygotowany na podobne obejście, które odbierało mu wszelką nadzieję, Julian czuł, że słabnie. Przemysłowiec wziął go za ramię i wypchnął za drzwi.

Wtedy oprzytomniawszy, nacisnąwszy silnie czapkę na oczy, wściekły chłopak pobiegł przed siebie. Zatrzymał się po długiej chwili w wąskiej, brudnej uliczce naprzeciw szynku. Wszedł, usiadł w odosobnionym kącie i zażądał szklanki rumu. Szalona myśl zemsty powróciła teraz. Lecz jakim sposobem dojść do celu? Najdziwaczniejsze myśli kłębiły się w jego rozgorączkowanej głowie. Jednym tchem wypił szklankę alkoholu, potem drugą i trzecią.

Uczuł w sobie szaloną, dziką energię. Oczy zabłysły złowrogo.

— Tak, tak zrobię — szepnął. — Czy ja mam co do stracenia? Jeżeli mię przychwycą, otruję się na miejscu.

Julian znał dobrze służbę państwa Morinval, nie zapomniał także o ukrytem wejściu w murze ogrodu, którem czasem wieczorem domownicy wychodzili. Wiedział, że żona przemysłowca była chora i leżała w parterowym pokoju. Pamiętał również, że Morinval zawsze mieszkał na pierwszem piętrze na drugiej stronie domu i że służące były przeważnie pomęczone a dozorczyni wyczerpana udawała się koło godziny jedenastej do przyległego pokoju na odpoczynek.

W ten sposób pani Morinval była sama przez kilka godzin. Przepędzała ona najczęściej większą część nocy w bezsilnym półśnie.

Lokaj i furman zajmowali mały pokoik w oficynie na dziedzińcu i zazwyczaj, korzystając z nieobecności pana domu, udawali się pokryjomu do miasta.

Zemsta była łatwa... Nikt się nigdy nie dowie w jaki sposób potrafił się wcisnąć do pokoju swojej byłej chlebodawczyni. Pomimo wielkiej ilości wypitego alkoholu, był zupełnie trzeźwy i przytomny, gdy wychodził z szynku.

Plan miał gotowy. Nic teraz nie mogło go odwieść od raz powziętego postanowienia.

— Tak, tak? dobra myśl... niedobra, bez serca kobieta nie będzie żyła za chwil kilka, a Morinval dotknięty tym wypadkiem, zostanie ukarany za brak litości.

W chwili, gdy Julian dochodził do domu, zamieszkałego przez p. Morinval, biła dwunasta godzina. Wokoło nie było nikogo. Bez najmniejszego wahania, przeskoczył żywo mur ogrodowy; lekko, starając się nie czynić szelestu doszedł pod okno słabo oświetlone. Okienice były otwarte. Był u celu.

Rzucił okiem do pokoju. Przy łóżku siedział Berton-Morinval, trzymając w dłoni wychudłą rękę chorej. Nic nie mówiąc, patrzał na nią z widocznym smutkiem. Co za pech, czy ten człowiek długo tu myśli pozostać. Minuty wydawały się Julianowi wiekami.

Nareszcie Morinval się podniósł, znikł na chwilę w przyległym pokoju i powrócił w towarzystwie poważnej matrony z zaspanemi oczami, której widocznie czynił jakieś uwagi.

Podczas gdy dozorczyni poprawiała chorej poduszki — Morinval pocałował żonę w czoło i zaraz wyszedł. Dozorczyni przekonawszy się, że już odszedł z domu, napowrót udała się na spoczynek Nareszcie!

Malpert chwilę nadsłuchiwał, poczem zręcznie wkroczył do pokoju przez okno. W tej samej chwili p. Morinval poruszyła się ciężko na łóżku, westchnęła i ledwie poruszając spieczonemi ustami, wyszeptała z trudnością:

— Pić, pić!

Usta miała cokolwiek otwarte, a oczy zamknięte. Julian odkorkował szybko flaszeczkę, którą miał w ręce, nachylił się i wlał w usta nieszczęśliwej parę kropli płynu.

Straszny kurcz przeszedł ciało chorej — ręce instynktownie podniosła do gardła — próbowała wstać, lecz bezsilnie opadła w konwulsyach na poduszki.

Nie żyła!

Teraz Julian, wystraszony dokonaną zbrodnią, nadsłuchiwał. Nie miał wyrzutów, lecz jak wszystkich zbrodniarzy w takich chwilach, ogarnęła go obawa, aby go nie odkryto. Cała jego energia, podtrzymująca go dotąd, zniknęła. Nie myślał już teraz o samobójstwie!... Chciał uciekać, skryć się, żyć...

W domu panowała głęboka cisza. Wyszedł tą samą drogą, drżąc silnie za najlżejszym szelestem. Znalazłszy się po drugiej stronie muru odetchnął z widoczną ulgą. Zdawało mu się, że uszedł wielkiemu niebezpieczeństwu. Pierwszą jego myślą było rzucić do kanału flaszeczkę, którą jeszcze trzymał w ręce, poczem wyczerpany, zmęczony, pobiegł do domu.

Była godzina pierwsza. Julian był zdziwiony, że przez tę krótką godzinę mógł tyle zdziałać. Nazajutrz rzecz się stała jawna. Gdy dowiedział się o podejrzeniu ciążącem na Bertonie-Morinval, chłopak uczuł szaloną radość.

O tak, zemścił się i to dobrze! Lecz z biegiem dni następowała reakcya. Nienawiść jego do przemysłowca zmniejszyła się, potrzeba zemsty zniknęła, zaczął żałować dokonania tej niepotrzebnej zbrodni.

Czy życie stało się mu przez to znośniejszem? Czy nie był zmuszony pracować tak, jak dawniej?

Duszę Juliana, w której nie zamarły jeszcze wszystkie szlachetniejsze uczucia, ogarniał często smutek i wstyd piekący. Słyszał, jak mówiono, że Morinval będzie zgubiony, iż wszystko składało się na to, że zostanie z pewnością zasądzony. Czy on, prawdziwy winowajca, ma pozwolić wydać w ręce katów niewinnego?

Chcąc zagłuszyć wzrastające z dniem każdym wyrzuty sumienia zaczął pić bez pamięci. Naprożno, myśl uporczywa wracała. Pragnienie samobójstwa zaczęło go powrotnie ogarniać.

Nareszcie pewnego dnia, doprowadzony do ostateczności, opuścił aptekę, napisał długi, trzeźwy list do prokuratora Rzeczypospolitej, w którym odkrywał swoją zbrodnię; sam zaniósł go do Pałacu Sprawiedliwości. Poczem nie mając dostatecznej ilości pieniędzy na kupienie rewolweru, zaszedł do sklepu rusznikarza i tu oglądając pokazaną broń, wpakował sobie dwie kule w same piersi.

Rana była śmiertelna, lecz żył jeszcze. Przewieziono go do szpitala.

. . . .

W gorączce rzucał się, opowiadając urywanemi słowami dokonaną zbrodnię. Sprowadzono komisarza; tenże zobaczywszy, że nieszczęśliwemu najwyżej dwie godziny pozostają do życia, pospieszył czemprędzej do Pałacu Sprawiedliwości. List Juliana był już w rękach prokuratora, który bez straty czasu w towarzystwie komisarza udał się do sędziego Germonpré.

Gdy wszyscy trzej dobiegli do szpitala, Julian Malpert tracił już przytomność. Naglony przez prokuratora lekarz, wstrzyknął mu silną dawkę morfiny, która przywróciła mu życie na krótko i pozwoliła opowiedzieć cały przebieg i powód zbrodni...

Komisarz spisywał zeznanie. Opowiadanie choć przerywane brakiem oddechu i przedśmiertną czkawką, było jasne i prawdziwe. Wyczerpany tym ostatecznym wysiłkiem Julian, umarł niezadługo.

Germonpré był w okropnem położeniu. Udawał obojętność, starając się ukryć szczególne wrażenie, jakie na nim uczyniło zeznanie Juliana Malpert. Nie mógł się jednak zdecydować na porzucenie swojej zdobyczy.

— To istny romans — rzekł spokojnie do prokuratora. — Nieprzytomne halucynacye, bez głębszego znaczenia. Niema nawet nad czem się zastanawiać.

— Jak to? Co pan mówi? — zawołał żywo prokurator, pod wpływem silnego zdziwienia.

— Nic nadzwyczajnego. Czy nie zdarzają się często waryaci, którzy się oskarżają o najniemożliwsze czyny i zbrodnie?

— Pan chyba żartuje. Ten chłopak zeznawał trzeźwo i logicznie. Mam w rękach list wielkiej wagi. Wszystko tam jest drobiazgowo opisane. Sposób, w jaki doszedł do posiadania trucizny, dokonanie zbrodni. Pan musiał niedokładnie list ten przeczytać.

— Rzeczywiście, przebiegłem go tylko oczami — szepnął Germonpré.

— No tak! to pana tłómaczy... Czyż nie wspomina w liście, że wiedząc o ulatnianiu się trucizny, z ostrożnością wielką z nią postępował, by samemu nie paść jej ofiarą i że działał szybko, aby płyn nie stracił swoich trujących właściwości?

— Oh, oh! — rzucił niedbale sędzia — czy sądzi pan, że nie było zawiele tych ostrożności u takiego chłopaka, który sam miał zamiar się zabić?



Wszedł pod okno słabo oświetlone...

— Zamiar niezupełnie jeszcze powzięty, skoro go nie urzeczywistnił natychmiast. A gdyby nawet! To było bardzo naturalne. Czy nie spotykamy nieraz ludzi zdecydowanych na utopienie się, którzy odstępują od swego planu jedynie dlatego, że woda brudna i mętna. Niech pan zauważy również, iż jego zeznanie zgadza się ze zdaniem lekarzy rzeczoznawców.

— Czy pan sobie nie przypomina, że po drugiem badaniu wspomnieli oni o gwałtownej trucyźnie, która jedynie może wyjaśnić nadzwyczajny kurcz ciała otrutej?

— Oh! — odpowiedział Germonpré dotknięty do żywego. — Rzeczoznawcy zawsze wyjdą cało z każdej sprawy... to wiadome. Na szczęście zebrałem inne pewniejsze dowody... a te...

— Panie sędzio — przerwał nagle prokurator tonem suchym, patrząc mu prosto w oczy — zdaje mi się, że gorliwość unosi pana za daleko. Bądź pan ostrożny! Przyjm pan tę radę odemnie. Wobec zachowania się pana, musiałbym przypuszczać, że insynuacye, dotyczące pana, które doszły aż do mnie, są prawdziwe. Dotąd nie chciałem im dać wiary... Pan sam prowadziłeś sprawę. Pomyłka straszna się stała, trzeba ją naprawić. Wiesz pan, co ci dalej czynić wypada...

— Po tych, tak kategorycznych zeznaniach prawdziwego winowajcy, ofiara tej sądowej pomyłki powinna być natychmiast wypuszczona na wolność.

— Człowiek jest omylnym! I pan mogłeś uledz pomyłce!

Po tych słowach prokurator zimno pożegnał się z sędzią i odszedł.

* * *

O godzinie szóstej Berton-Morinval został uwolniony. Uszczęśliwiony, ściskał w swoich ramionach córkę, oczekującą na niego u bramy więzienia.

Tłum przyjaciół uczynił mu formalną owacyę. Nigdy Morinval nie przypuszczał nawet, że ich ma tylu!

Wychodził z walki jako zwycięzca, do niego więc zwracały się okrzyki niezdecydowanej dotąd publiczności, która jedynie obdarza uznaniem tryumfatorów.

Pomiędzy tymi ludźmi byli i ci, którzy dawniej jeszcze oskarżali go bezlitośnie, obrzucając go błotem i pogardą.

Dzisiaj nikt nie wątpił już o jego niewinności!...

Wiadomość o uwolnieniu Bertona-Morinvala rozniosła się lotem błyskawicy po miasteczku, zanim jeszcze interesowanemu doręczono oficyalny akt uniewinniający.

Akt ten stał się dla sędziego Germonpré źródłem nasycenia choć w części swojej zawiedzionej zemsty i nienawiści.

Zredagował go z prawdziwie szatańskim sprytem i podstępem.

Zaznaczał, że jedynie w braku dowodów materyalnych pomimo silnie obciążających moralnych faktów — pomimo niejasnego tłómaczenia się, a właściwie dla braku tłómaczenia się oskarżonego, w końcu dla tego, że jakiś człowiek umierający brał całą winę na siebie — uwalnia Bertona Morinvala, oskarżonego o otrucie swojej własnej żony.

Zawiedziony biurokrata pozostawiał przełożonym swoim do uznania całe tak wyczerpująco i pracowicie przeprowadzone badanie, które dla powodów nie zależących od niego, nie mogło przynieść oczekiwanych rezultatów.

Wydawał sobie tym sposobem świadectwo zręczności i sprytu. Uwolniony Morinval zostawał pod lekkim zarzutem zbrodni, nie wyjaśnionej dla braku dowodów.

Berton-Morinval był więc już nareszcie wolny!...

Czemże dla niego były teraz te wszystkie jadowite strzały i fałszywe insynuacye przeciwnika?...

ROZDZIAŁ V.

Szczęśliwe zdarzenie.

Sprawa Bertona-Morinvala narobiła niebywałego rozgłosu.

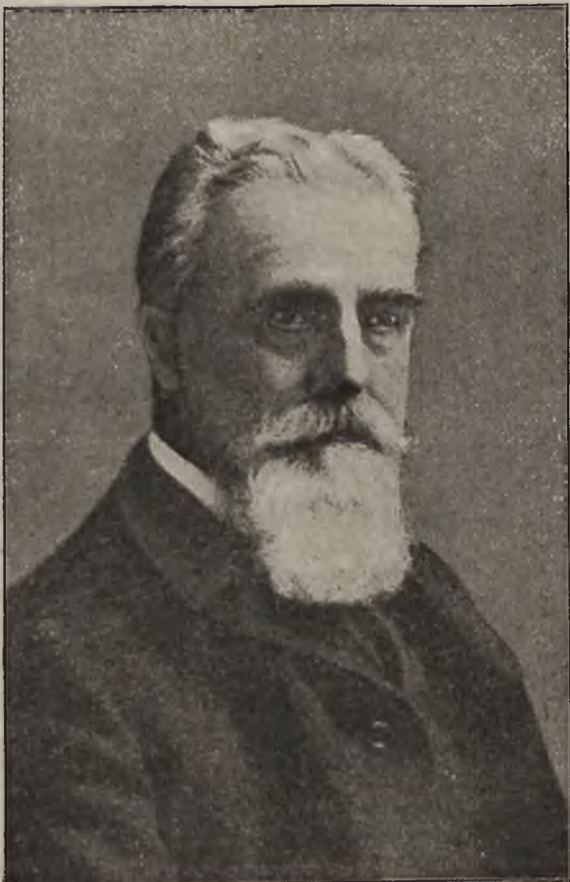
Dziennik „Le Reveil“ w nadzwyczajnych dodatkach rozpisywał się bardzo szeroko nad niewinnie oskarżonym przemysłowcem, wymagając od władzy dyscyplinarnego ukarania niegodnego sędziego.

Żądał, by tenże złożył jawnie umówioną sumę, jako odszkodowanie dla człowieka, który tyle przez niego wycierpiał.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Śmierć znakomitego chirurga.

W zupełnie zagadkowych okolicznościach zeszedł z tego świata znakomity chirurg, radca dworu dr. Albert Mosetig, profesor wiedeńskiego uniwer-



Smierć znakomitego chirurga: Prof. dr. A. Mosetig, który utonął w Dunaju.

sytetu. Sędziwy ten uczony przed kilku dniami przechadzał się nad brzegiem Dunaju i nie wiadomo, czy przypadkiem, czy też w zamiarze samobójczym dostał się w jego nurty, gdzie prawie natychmiast śmierć znalazł.

Profesor Mosetig liczył lat 70 i zamierzał już w przyszłym roku szkolnym opuścić katedrę uniwersytecką. Studya ukończył w Wiedniu, gdzie habilitował się na docenta w 1866 r.; profesurę zaś otrzymał w ośm lat później. Podczas wojny francusko-pruskiej, podczas okupacyi Bośni i w czasie wojny bułgarsko-serbskiej w 1885 r. zebrał on jako lekarz praktyczny — wielki zasób doświadczenia.

Niespożytą zasługą zmarłego jest, oprócz mnóstwa prac naukowych, oraz wielkiej ilości szczęśliwie dokonanych operacyj, wynalezienie tak zwanej plomby jodoformowej, za pomocą której udaje się w wielu wypadkach uratować całość nadwerężonych kości, bez uciekania się do operacyi. Jako profesor, dr. Mosetig cieszył się wielkiemi sympatyami swych słuchaczy, z których wielu wykształcił na znakomitych chirurgów.

Katastrofa na Newie.

Niedbalstwo policyi rzecznej z jednej strony, z drugiej chęci wyzysku ze strony właściciela przypisać należy katastrofę, jaka kilka dni temu zdarzyła się na Newie w Petersburgu. Na rzece tej kursował mianowicie oddawna stary statek parowy „Archangielsk“, przewożąc pasażerów z jednego brzegu na drugi.

Statek ów, jak się później okazało, był już zupełnie niezdatnym do użycia, maszyny miał zaledwie funkcyonujące, a kadłub spróchniały. Pomimo tego, policya rzeczna pozwalała na jego jazdy, nie bacząc na to, że lada chwila mogło się stać nieszczęście, do którego też rzeczywiście przyszło.

W czasie jednego z kursów, podczas, gdy gęsta i gruba kra z jeziora Ładoga spływała po Newie, „Archangielsk“, zgnieciony przez nią, poszedł na dno, a z nim razem przeszło stu robotników, przeprawiających się do dzielnicy fabrycznej Ochta. Mgła i owa kra utrudniały ratunek, tak, że zaledwie kilkunastu pasażerów uszło z życiem.

Ryciny załączone przedstawiają: galar z trupami utopionych, wyłowionymi przez nurków, oraz chwilę, gdy za pomocą parowego kranu zostaje wyciągnięty z wody kładłub „Archangielska“.

Opinia w Petersburgu oburzona jest na organa policyjne, które z taką lekkomyślnością naraziły na szwank życie tylu ludzi, a których postępowanie nie może — jak tylko wzbudzić wielką nieufność u publiczności petersburskiej, zmuszonej, wobec niedostatecznej ilości mostów na Newie, w pewnych punktach miasta, posiłkować się statkami przewozowemi.



Fot. A. Drankow, Petersburg.

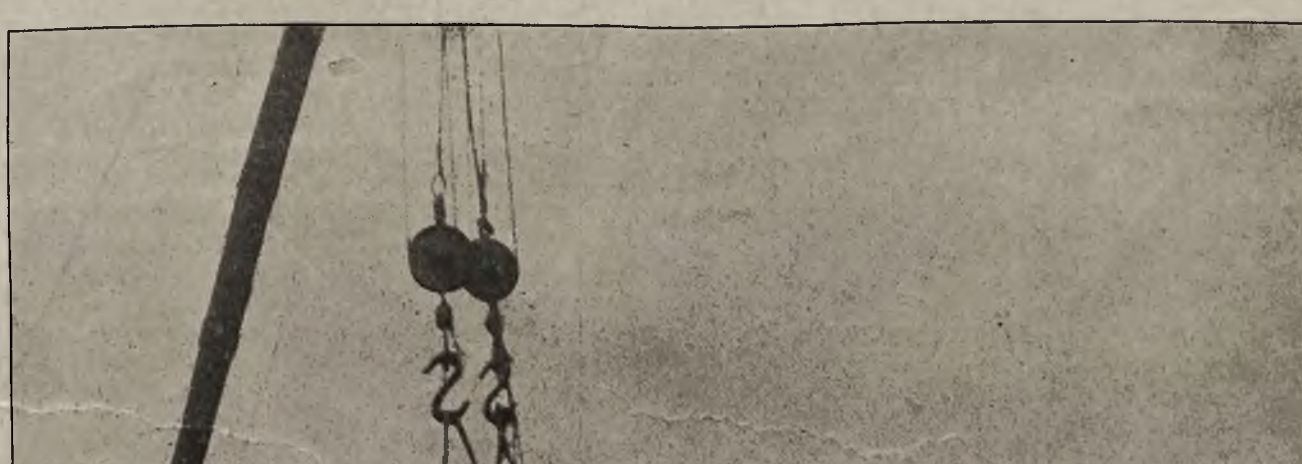
Katastrofa na Newie: Galar z wyłowionymi z rzeki trupami pasażerów »Archangielska«.

Zasłużony spoczynek.

(Do illustracyi na stronie 4).

Przeszło pół wieku służyć w jednej instytucyi, a cóż dopiero w straży ogniowej — to rzecz niezwykła zaiste. Takiego weterana portret zamieszczamy w niniejszym numerze. Jest to p. August Nowicki, starszy majster kominiarski w warszawskiej straży ogniowej, który obecnie przechodzi w zasłużony — dosłownie zasłużony spoczynek. N. wstąpił do służby w roku 1854, jako ochotnik wojskowy i zaliczony został do oddziału kominiarskiego, w r. 1862 awansowany na oddziałowego, w 4 lata później na młodszego majstra, a w roku 1906 na starszego. N. od lat 40-tu postawiony jest na czele kominiarzy straży ratuszowej i znana jest w najrozleglejszym rewirze sympatyczna, pochylona wiekiem postać tego staruszka. Szczególną jednak popularnością cieszy się N. w dzielnicy staromiejskiej, w której stale mieszka; znają go tam nawet małe dzieci. Nic dziwnego: trzecie pokolenie patrzy na N., prowadzącego „do ognia“ lub „na robotę“ swoich podwładnych kominiarzy. N. nie mniej jest poważany przez zwierzchność oraz kolegów i podwładnych za swoją sumienność i nieposzlakowaną uczciwość.

Nowicki jest żywą kroniką pożarnictwa warszawskiego, biorąc bowiem czynny udział w ciągu ostatnich lat 50 w wielkich pożarach, pamięta je wszystkie szczegółowo i chętnie opowiada ich przebieg.



Fot. A. Drankow, Petersburg.

Katastrofa na Newie: Wyciąganie z rzeki kadłubu zatopionego »Archangielska«.

Kronika tygodniowa.

„Point des rêveries!" — oto jednomyślna prawie odpowiedź prasy rosyjskiej na wniesiony do Dumy przez posłów polskich projekt autonomii Królestwa Polskiego. Przed dwoma laty, a nawet jeszcze przed rokiem, mówiono w Rosyi o tej autonomii jako o rzeczy naturalnej — tylko skrajna prawica trzęsła się z oburzenia. Partya konstytucyjno-demokratyczna (kadeci) dla sprawy tej czuła taki zapał, z taką szaloną miłością rzucała się w nasze objęcia, żeśmy po prostu byli zdziwieni, oszołomieni tym wylewem uczuć, że nie wiedzieliśmy poprostu, czy zdołamy się odwzajemnić. Nawet w „Nowoje Wremia" p. Mienszikow zaręczał nam, że wszystko dostaniemy, o czem tylko dusza zamarzy, abyśmy tylko byli grzeczni, abyśmy nie robili powstania.

Skądże więc ta nagła zmiana? Nie buntowaliśmy się — owszem, chwalono nas za poważne zachowanie się, podejrzewano nawet o reakcyjne dążności. Zaprzeczyliśmy tym podejrzeniom z godnością, a wystąpienie nasze w drugiej Dumie zyskało ogólne prawie pochwały. Nie zeszliśmy ze stanowiska bojowników wolności — umieliśmy nawet, jak przyznaje „Riecz", organ kadetów, „poczynić w projekcie autonomicznym znaczne ustępstwa w duchu realizmu politycznego". A więc o co idzie? Kadeci powinni chyba być zadowoleni, że żądamy mniej sami „na papierze", niż oni nam „na gębę" przyrzekali. A jednak taż sama „Riecz" ubolewa, że tak ważny krok polityczny „dokonany został w chwili tak niepomyślnej i w formie trudno dającej się obronić".

W chwili niepomyślnej? „Riecz" powiedziała prawdę. Panowie kadeci umizgają się gwałtownie do rządu, uśmiechają im się złotem wyszywane fraki ministeryalne. Chcą wykazać swoją „Regierungsfaehigkeit", a tu Polacy psują im interes swojemi żądaniami. Więc wyrzekają się swoich miłości i obietnic i wspominają nawet, że autonomia Polski mogłaby sprowadzić „powikłania międzynarodowe". Aha! więc „pour le roi de Prusse" żegnaj miłości słowiańska!

Wszystko to jest w porządku. Zawiedliśmy się przedtem na liberałach wiedeńskich i berlińskich, a więc dla kompletu zawodzimy się i na liberałach rosyjskich. Lepiej nawet, że się to prędzej stało, niż oczekiwaliśmy. Po co się łudzić, po co wierzyć fałszywym przyjaciołom? Dobrze więc, że Koło Polskie wniosło projekt autonomii, bo rzecz się wyklarowała. Do dwuprzymierza Puryszkiewiczów z Wilhelmem II przystępują i kadeci. Będzie trójprzymierze. Ale trójprzymierza zazwyczaj się rozlatują. A projekt autonomii pozostanie tak długo projektem, aż się nie urzeczywistni. Bo siłą rzeczy przyjść do tego musi, bo rozległe i różnonarodowe państwo, wszedłszy na drogę konstytucyjną, dla własnego interesu musi wejść na drogę decentralizacyi, uszanować odrębności. Raz zaś wniesiony projekt autonomii zawsze będzie programem, od którego posłom polskim ani na krok odstąpić nie będzie wolno.

Przymierze kadetów z Puryszkiewiczami nastąpiło w czasie istnej epidemii na przymierza. W ciągu paru tygodni mamy do zanotowania:

a) Przymierze angielsko-włosko-hiszpańskie;

b) przymierze Norwegii z „Ukrainą" galicyjską;

c) przymierze Niemiec z państwem Monaco, Hohenzollernów z Grimaldimi;

d) przymierze krakowskie b. konserwatystów z b. skrajnymi demokratami;

e) przymierze pana Hudeca z p. Breiterem we Lwowie.

Dwa ostatnie przymierza zasługują na tem baczniejszą uwagę, że zostały zawarte między potencyami, które zawsze wrogo przeciw sobie występowały. Wobec tego spodziewać się należy, że maluczko, a socyały wejdą w alians ze starostańczykami, że drowi Grossowi pospieszy z sukursem kapituła krakowska, a b. poseł Szajer dozna poparcia ze strony Eleuteryi. We wschodniej Galicyi zaś zanosi się na przymierze „Ukraińców" z partyą staroruską.

Pierwsze bliższe zetknięcie się tych dwóch partyj nastąpiło w kołomyjskiem. Przyjaciele Björnsona napadli na wiecu przedwyborczym kandydata partyi staroruskiej dr. Dudykiewicza, po odpowiedniej ilości kułaków przewrócili go na ziemię i dokonali wreszcie czynu, świadczącego o wysokiej ich kulturze, bo napakowali mu do ust ekskrementów ludzkich i całą twarz niemi obrzucili.

Użycie tego nowego środka walki politycznej nie jest jednak ze strony ukraińców wyjątkowem. Organ tej partyi „Swoboda" podaje notatkę p. t.: „Jak Hlibowickiego skąpano w gnojówce". Fakt ten stał się w Dobrotworze, w pow. kamienieckim. W starej karczmie, pełniącej obowiązki ratusza, odbywał się wiec, na którym dr. Hlibowicki, jako kandydat staroruski, składał wyznanie wiary. Obok kandytata siedzieli w grupce księża ruscy. Otóż Ukraincy, nie mogąc widocznie inaczej rozbić zgromadzenia, wpadli na świetny pomysł: wynieśli na strych dwie beczki gnojówki z kloaki i wylali ją właśnie w tem miejscu, gdzie stał kandydat i siedzieli księża. Przez powałę zaczęły się lać do sali strumienie cuchnącej cieczy. „W tej chwili — pisze „Swoboda" — ktoś zbił lampę i w ratuszu zrobiło się ciemno. Kacapy w nogi! Księża Łoziński i Kobrynowicz podnieśli chałaty i hyc, hyc przez okno uciekali... Na pożegnanie dostali jeszcze kilka razy po mordzie, aby pamiętali, że Dobrotworzanie nie głupcy..."

Proponowałbym urządzić składkę, polecić któremu z malarzy, aby odtworzył na płótnie tę „scenę rodzajową" i posłać ją na pamiątkę Björnstjerne-Björnsonowi. Byłaby to zemsta chrześcijańska. Björnson na nas kamieniem, a my na niego... obrazem.

„A propos" zemsty ciekawym objawem zdziczenia moralnego jest list nadesłany do redakcyi warszawskiego „Kuryera Porannego" odkrywający powody sensacyjnego morderstwa, popełnionego niedawno na kelnerce Broniszewskiej. Z początku aresztowano jej męża, z którym żyła w niezgodzie, ale ten wykazał „alibi". Zabita nie miała żadnych nieprzyjaciół, w „politykę" się nie bawiła. Nie umiano więc sobie wytłómaczyć, kto i za co mógłby ją zabić. Tymczasem „Mściciel" (tak się podpisał autor listu) oświadcza, że on zabił Broniszewską przez zemstę. „Nie jestem — pisze — żadnym mordercą, a jestem „człowiekiem wzorowym", a wiele matek i żon dziękują i dziękować mi będą, że ja je oswobodziłem od grożącego im nieszczęścia". Potem opowiada, że „zginęło mu 50 rb. własną jej ręką zabrane", a potem przez jej koleżankę, również kelnerkę, został nieszczęśliwym, bo „żenić się nie może". Więc po kilkomiesięcznej kuracyi postanowił „zemścić się aż na ostatniej kelnerce w Warszawie". Broniszewska była pierwszą ofiarą, drugą będzie jej koleżanka itd. „po kolei, aż do ostatniej..."

A może list ten to tylko płód niezdrowego umysłu. Statystyka wykazuje, że jest ich coraz więcej, a w Warszawie i Królestwie liczba zboczeń umysłowych w ostatnich latach się podwoiła. Wogóle wzrosły choroby na tle nerwowem i histeryczem, objawiające się tak często paraliżem. Do uleczenia tych chorób przybył nowy środek, niestety zbyt radykalny i niedający się zapisać. Oto po katastrofie w San Francisco lekarze zauważyli szereg faktów świadczących, że dla niektórych osób następstwa trzęsienia ziemi były korzystne. Wiele osób sparaliżowanych od lat kilku, a nawet kilkunastu odzyskało zdrowie wskutek dokonanego wstrząśnienia. Znane są również fakta, że chorzy na reumatyzm wyzdrowieli wskutek zderzenia pociągów. Wszystko to być może, a nawet jest, ale nie ulega wątpliwości, że jeżeli trzęsienia ziemi i zderzenia pociągów mogą kogoś wyleczyć, to daleko więcej jest takich, którzy przez nie wpadają dopiero w choroby nerwowe. Skutecznym ten środek okazał się również na... pijaństwo. W czasie obchodu jakiegoś zwycięstwa w Japonii wielu urzędowanych upiło się „dokumentnie" — wtem nastąpiło trzęsienie ziemi i wszyscy pijani wytrzeźwieli. Polecamy więc ten środek naszym czcicielom Bachusa.

Inny środek mamy na powiększenie członków naszego Sokoła. W Miłowcach O. Kurowec, bazylianin, administrujący czasowo parafią, jest gorliwym zwolennikiem pieśni „Ne pora Lachom służyty", a co za tem idzie, propagatorem „Siczy". Ale choć ją założył, chłopcy miłowieccy nie bardzo do niej spieszyli. Ale od czego rozum? Sprytny polityk w sutannie poubierał swoim sumptem dziewczęta miłowieckie w stroje siczowe i wystawiwszy pluton takich amazonek, sprezentował go mieszkańcom swej parafii. Skutek przeszedł oczekiwania. Wszyscy prawie mołojcy pozapisywali się do Siczy i teraz o. Kurowec stoi na czele dwupłciowego hajdamackiego batalionu. Urządza z nim procesye, parady, ku wielkiemu niezadowoleniu rodziców, obawiających się następstw tego koleżeństwa i ćwiczeń praktycznych. Otóż nasze gniazda sokole powinny iść za przykładem o. Kurowcia i magnesem Sokolic ściągnąć coraz liczniejsze zastępy Sokołów, zwłaszcza, iż przy naszej „niższej" kulturze obaw o następstwa miećby nie potrzeba.

O następstwach tych była mowa na jednem ze zeszłotygodniowych posiedzeń sejmu pruskiego. Dr. Bebra z Centrum, przemawiając o potrzebie kreowania większej liczby posad miejskich i wiejskich położnych, temi słowy przemowę swoją zakończył: „Bocian, mości panowie, nietylko na wiosnę przylata, ale czasami o ciemnej północy. Musi być odtąd inaczej". Ogromny śmiech pokrył „lapsus" mówcy. Niemniej wesoło przyjęto inny „lapsus", wypowiedziany na temże posiedzeniu przez posła Schmidt-Marburga. Rozgniewany, że mu przeszkadzano podczas przemówienia, zawołał: „A więc moi panowie, muszę sobie poszukać jakiego innego kąta, aby się wywnętrzyć".

Na zakończenie kroniki kilka słów z dziedziny sztuki i archeologii.

Kraków otrzymał nową wysoką pochwałę za swą kulturę estetyczną, a stało się to za przyczyną wystawy prac Stanisławskiego. Sprawozdanie jednego z pism warszawskich połowę swego sprawozdania poświęca tej kulturze. W pierwszej chwili trudno zrozumieć, na co ten wstęp tak długi, ale później już domyśleć się łatwo. Oto wystawę Stanisławskiego poprzedziły entuzyastyczne artykuły i wzmianki — tymczasem Warszawa na wystawie nie poznała się. Więc sprawozdawca tą wyższością krakowskiej kultury estetycznej tłómaczy, dlaczego to, co zachwyca w Krakowie, nie imponuje Warszawie. Drugi sprawozdawca sądzi, że do Warszawy przysłano rzeczy pomniejsze, notaty artystyczne, że jej poskąpiono zobaczenia lepszych utworów Stanisławskiego.

„Ważnego" odkrycia archeologicznego, jak donoszą dzienniki, dokonał bawiący w Rzymie, dr. Hadaczek, profesor uniwersytetu lwowskiego. Oto (słuchajcie!) „znalazł", że słynny tors grecki, znajdujący się w Watykanie, uważany dotychczas za tors Herkulesa, jest torsem Marsyasza, grającego na flecie. Dr. Hadaczek „odkrył" mianowicie ślady, iż odpiłowany został ogon, który miał Marsyasz, jako sylen. Sam nie jestem w stanie odczuć ważności tego odkrycia, mimo, że ubolewam nad odpiłowaniem ogona Marsyaszowi. Ale kto się zna na sztuce starożytnej, ten i boleść głębiej odczuje i radość z „ważnego odkrycia" zrozumie.

Inny archeolog, p. Jan de Bonnefon, sprawił przykrą niespodziankę Węgrom, wykazawszy w paryskim „Journalu", że dzisiejsza korona św. Szczepana, a zarazem odnośna bulla papieska jest... falsyfikatem. Przypuszczać należy, że Węgrzy dopuścili się takiego samego patryotycznego fałszerstwa, jak Hanka z rękopisem królodworskim, a Anglicy z pieśniami Ossyasza. Nas to jednak boleć nie powinno. Niech tam sobie korona węgierska będzie fałszywa, byle były prawdziwe korony austryackie i byle ich mieć jaknajwięcej. Ale niestety, coraz rzadziej się z nimi spotkać przychodzi, a w ostatnich czasach wśród 50-koronowych banknotów austryackich okazało się wiele tak prawdziwych, jak... korona węgierska.

Kącik humorystyczny.

Pochlebnie.

Gość (w restauracyi). Kelner, już po raz piąty przechodzisz pan obok mnie i nie pytasz nawet, co każę podać.

Kelner (oddalając się). Przepraszam najmocniej pana dobrodzieja, ale przyszło właśnie kilku porządnych gości, których muszę prędko obsłużyć.

Po wyjściu sekwestratora.

Po dopiero co dokonanem zajęciu ruchomości za długi, mąż, przyglądając się zupełnie pustym salonowi, powiada:

— No, ładnie nas jednak opustoszył!

A żona na to:

— Nieprawdaż Geniu, że możemy teraz wydać zabawę tańcującą, mamy tyle miejsca!?

Karty go zgubiły.

Przed trzema tygodniami zbiegł ze Stanisławowa buchalter tamtejszego Banku zaliczkowego, Władysław Hilczer, sprzeniewierzywszy na szkodę tej instytucyi kwotę 24.000 koron. Defraudacyi tej dopuścił się Hilczer w sposób dosyć prosty, wykazawszy bowiem dwom dyrektorom, pod nieobecność głównego dyrektora, potrzebę zaopatrzenia Banku w gotówkę, wydostał od nich podpisy na reeskont weksli w posiadaniu Banku zaliczkowego się znajdujących, na łączną kwotę 22.000 koron, poczem zaprezentował je w Banku hipotecznym, utrzymującym w Stanisławowie swą ekspozyturę, otrzymaną zaś za nie gotówkę, sobie przywłaszczył i z tą w szeroki świat potem frunął. Sprawdzono, że Hilczer tej samej nocy jeszcze grał w jednej z kawiarń w Stanisławowie w karty i stracił tutaj, przy zielonym stoliku, kwotę 3000 koron, poczem widziano go we Lwowie, gdzie prawdopodobnie także próbował szczęścia w „krótkiego“, skoro zaś to zawiodło, skorzystał z posiadanego paszportu na wyjazd zagranicę i znikł bez śladu. Zarządzona przez Związek stowarzyszeń zarobkowych natychmiast lustracya Banku zaliczkowego, wykryła jeszcze dodatkowo brakującą z winy Hilczera kwotę 2000 koron, tak, że cała sprzeniewierzona przez niego suma wynosi 24.000 koron. Hilczer był zdolnym urzędnikiem bankowym i mógł z łatwością był zająć poważne stanowisko w świecie finansowym. Niestety, namiętność do kart, która tylu już jego poprzedników zgubiła, pchnęła i jego na drogę nieuczciwą i zrobiła go defraudantem. Swoją drogą dużo winy ponoszą także specyficzne stosunki stanisławowskie, wśród których wolno. tuż pod okiem władz, mających czujne oko, jeżeli idzie o przeprowadzenie wyborów, biednym ludziom zgrywać się i rujnować w gry hazardowne, zupełnie publicznie.

Wogóle w Galicyi zbyt często od szeregu lat zdarzają się defraudacye, popełniane prawie zawsze przez ludzi. o których notorycznie wiadomo, że są ofiarami hazardu, a jednak nikt nie zwraca na to uwagi mimo, że pracują w instytucyach finansowych i z powodu czynności zawodowych muszą mieć do czynienia z kasą, z wekslami, książeczkami oszczędności itp.



Fot. N. Olszanskij, Petersburg.

Z Dumy rosyjskiej: Kontrola legitymacyj posłów u wejścia do pałacu Taurydzkiego.



Karty go zgubiły: Władysław Hilczer, buchalter, który zdefraudował 24 tysiące koron w Banku zaliczkowym w Stanisławowie.



Fot. N. Olszanskij, Petersburg.

Z Dumy rosyjskiej: Widok ogólny pałacu Taurydzkiego w Petersburgu, gdzie obraduje Duma.

Policmajster miasta Łodzi.

Z dzienników wiadomo, co się działo ostatniemi czasy w „polskim Manchesterze“. Po dawnych strajkach i strzelaninie patroli, starających się



Policmajster miasta Łodzi: Rotmistrz Diedulin, p. o. policmajstra łódzkiego.

zapobiegać na ulicach zamachom politycznym, nadeszły najcięższe tygodnie dla robotniczej ludności Łodzi. To słynny i głośny w całym kraju „lokaut“. Skutki tej broni fabrykantów okazały się straszne dla rodzin robotniczych. Nędza okropna szła w parze ze strasznem zdziczeniem. Walki bratobójcze w Łodzi są zbyt dobrze znane naszym Czytelnikom, byśmy musieli przypominać szczegóły tej krwawej kroniki, której kres zaledwie w ostatnich dniach położyło ustanie lokautu, powrót robotników do fabryk i uchwały delegatów partyi.

Władzom miejscowym trudno było dać sobie rady z nieokiełznanemi żywiołami. Policmajster miasta Łodzi Chrzanowskij nie okazał dostatecznej energii w kierunku zabezpieczenia mieszkańców przed bandytami. Wszak wiadomo, że w czasie ostatnich walk bratobójczych bywały dni takiej rzezi po przedmieściach, kiedy naraz liczono po 40 i kilka trupów. Zdaje się, że działalność policyi łódzkiej stanie się obecnie znacznie energiczniejszą i zapewni bezpieczeństwo ludności. Policmajster Chrzanowskij wyjechał bowiem dla odpoczynku na dłuższy urlop, a pełniącym obowiązki policmajstra został rotmistrz Diedulin; podobiznę jego zamieszczamy, jako upatrzonego na następcę Chrzanowskiego, o którym krążą pogłoski, że już nie powróci z urlopu.



Fot. N. Olszanskij, Petersburg.

Z Dumy rosyjskiej: Grupa posłów, należących do »partyi pracy«, podczas posiedzenia klubowego.

Z Dumy rosyjskiej.

Parlament rosyjski wegetuje, z dnia na dzień niepewny swej egzystencyi. Sfery dworskie pragnęłyby jak najprędzej pozbyć się kontroli tego, bądź jak bądź, niewygodnego ciała prawodawczego, skrajne zaś żywioły, tak dobrze z prawicy, jak i lewicy, ciągle głoszą, że Duma niezdolną jest do pracy. Oczywiście, że posłowie ze skrajnej prawicy wychodzą z innego założenia, niż posłowie ze skrajnej lewicy, rezultat jednak jest ten sam, bo jedni i drudzy nie godzą się na Dumę taką, jaką jest ona obecnie.

Z pomiędzy licznych stronnictw, na które dzielą się członkowie Dumy, tylko „kadeci“ i Polacy tworzą partye zwarte, solidarne, świadome jasno celów, do jakich dążą, a uprawiające politykę parlamentarną na sposób zachodnio-europejski. Jedynie „trudowicy“ tj. „stronnictwo pracy“ — z pomiędzy reszty — mogą sobie rościć pretensye do nazwy stronnictwa parlamentarnego. Nie idą oni wprawdzie zawsze ręka w rękę z „kadetami“, jednakże w wielu sprawach głosują z nimi razem i posiadają program, który mniej więcej da się zrealizować. Tego zaś nie można powiedzieć o innych stronnictwach, czy to wstecznych, czy też radykalno-postępowych, które nie liczą się z warunkami, w jakich się znajduje teraz Rosya i z przesileniem wewnętrznem, jakie przechodzi obecnie.

Jedna z rycin, załączonych do niniejszego artykułu, przedstawia grupę posłów z tej właśnie partyi t. j. „stronnictwo pracy“ podczas posiedzenia klubowego.

Inna rycina daje charakterystyczny obrazek z życia obecnej Dumy. Oto posłowie muszą przedkładać służbie swe legitymacye, zanim przekroczą progi pałacu Taurydzkiego. Kontrola na tym punkcie jest ścisła, a pilnuje jej wykonania oficer policyjny.

Dwie ostatnie wreszcie ryciny dają: ogólny widok pałacu Taurydzkiego, gdzie obraduje Duma, a także widok specyalnego tak zwanego „ministeryalnego“ pawilonu, przybudowanego do tego pałacu świeżo, gdzie obradują obecnie przedstawiciele rządu.



Fot. N. Olszanskij, Petersburg.

Z Dumy rosyjskiej: Pawilon, tak zwany ministeryalny, przybudowany do pałacu Taurydzkiego.

Sprawa wojskowo-rewolucyjnej organizacyi.

Przed sądem wojennym w Warszawie stanęła grupa obwinionych o wzięcie udziału w wojskowo-rewolucyjnej organizacyi warszawskiego okręgu wojennego, która miała na celu ogólne powstanie. Oskarżeni redagowali, drukowali i rozdawali broszury i odezwy do żołnierzy, oraz urządzali zebrania szeregowców. Największym wpływem wśród żołnierzy cieszyła się 35-letnia Marya Leonardowa Frenklowa, żona dziennikarza warszawskiego, jedyna kobieta między oskarżonymi. Jej mowy agitacyjne miały budzić entuzyazm wśród żołnierzy. Ona też otrzymała wyrokiem sądu wojennego najwyższą karę, bo 4 lata ciężkich robót, gdy innych skazano na osiedlenie, bądź tylko na areszt. Zamieszczamy powyżej portret skazanej.



Sprawa wojskowo-rewolucyjnej organizacyi: Marya Frenklowa skazana przez sąd wojenny w Warszawie na 4 lata ciężkich robót za agitacyą rewolucyjną w wojsku.

Walka wojsk z bandytą.

Formalną bitwę stoczyło wojsko pod Lublinem z bandytą. Był to herszt opryszków, Franciszek Lis, który o kilka wiorst od Lublina ukrywał się we wsi Sławinku. Udała się tam policya z kozakami, żeby go wytropić i schwycić. Lis przywitał ich strzałami i schował się do najbliższej kuźni. Nakazawszy kowalowi i jego rodzinie dom opuścić i wyrzuciwszy jeszcze przez okno trzyletnie dziecko, bandyta stał się panem położenia. Policya z policmajstrem lubelskim na czele wkroczyła teraz do kuźni i zaczęła z Lisem pertraktować, aby się poddał.

Lecz kiedy bandyta odpowiedział strzałami, kładąc trupem jednego strażnika, a raniąc drugiego, policya musiała się cofnąć.

Policmajster zażądał pomocy wojska, które przybywszy, zaczęło oblegać kuźnię. Było to formalne oblężenie. Oprócz policyi i kozaków do walki z bandytą wystąpiło kilka kompanij piechoty. Wojsko rozstawiono łańcuchem blisko na milę w okrąg.



Walka wojsk z bandytą: Zniszczone ogniem działowym i karabinowym wnętrze kuźni w Sławinku.

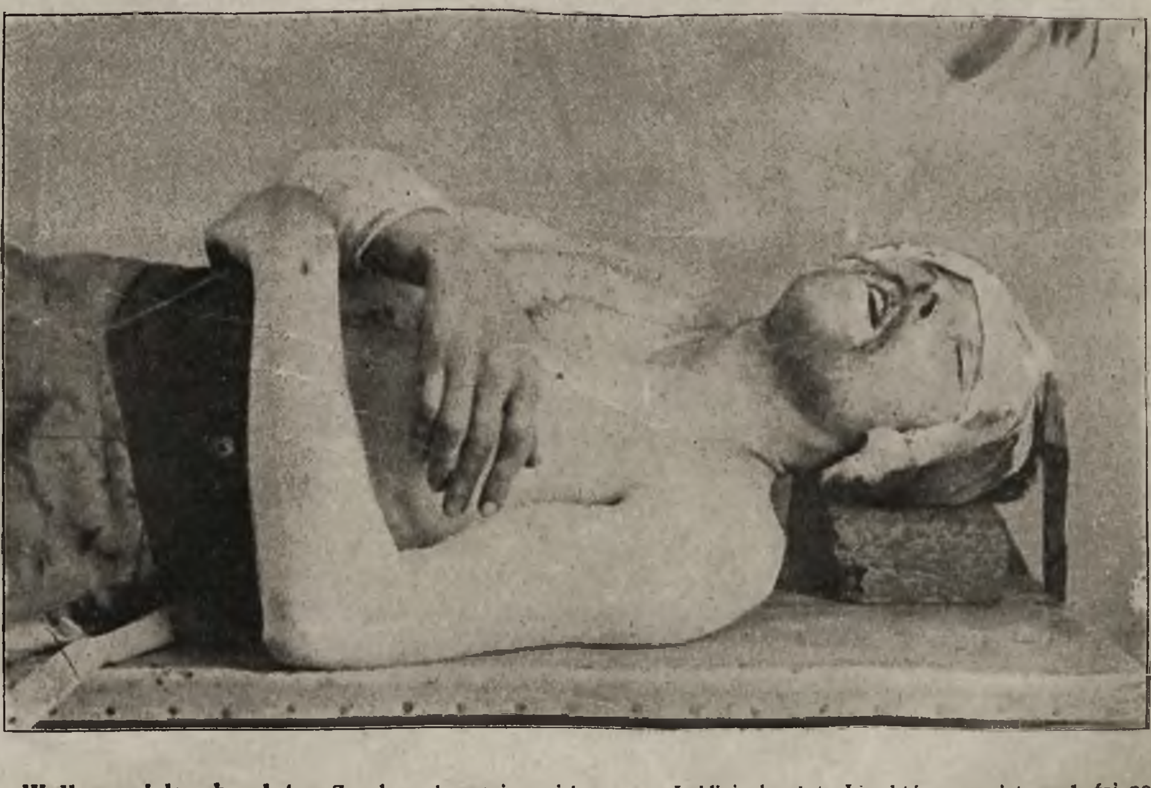


Walka wojsk z bandytą: Zniszczone ogniem działowym i karabinowym wnętrze mieszkania kowala.

Przez kilka godzin piechota dawała salwy karabinowe do ukazującego się co chwila w drzwiach kuźni Lisa, który za każdym razem odpowiadał strzałem z rewolweru i ukrywał się we wnętrzu kuźni. Policmajster zażądał artyleryi. Sprowadzono działo szybkostrzelne i ustawiwszy je na górce, dano szereg strzałów szrapnelami, wybijając ośm dziur w murze budynku i burząc prawie kuźnię. Tymczasem bandyta ukazuje się po każdym strzale we drzwiach i pali z rewolweru.

Policmajster komenderuje tedy: Iść szturmem! Pierścień wojska zwęża się, podchodząc zwolna do zbombardowanej kuźni. Lecz naraz okno się otwiera, a przez nie Lis zasypuje strzałami zbliżających się żołnierzy.

Powoli cofa się wojsko ku szosie, poczem jeszcze jedna salwa armatnia rujnuje budynek. Ale bandyta żyje, zjawia się w oknie i strzela. Znowu dwie kompanie piechoty sypią 18 salw karabinowych z przekonaniem, że nie będzie już potrzeba użyć następnej, a tymczasem po każdej przez wybite szrapnelami otwory ukazuje się nieustraszony bandyta i strzela dalej ku oblegającym... Chwila ciszy, poczem wojsko z policyą zbliża się ponownie do kuźni, powoli, ostrożnie, z bronią w pogotowiu. Tym razem powiodło się wkroczyć do wnętrza nareszcie. W mieszkaniu kowala zastano na podłodze koło łóżka Lisa ranionego kulami w szyję



Walka wojsk z bandytą: Zmarły w lazarecie wojskowym w Lublinie bandyta Lis, którego wzięto w kuźni po całodziennym szturmie kilku kompanij piechoty z konnicą i artyleryą.

i w lewą pachwinę, a w głowę odłamkiem szrapnelu.

W ręku miał rewolwer i jeszcze ostatnim wysiłkiem chciał się zerwać i strzelić do wchodzących, lecz rzucono się na niego i ubezwładniono. A znaleziono przy nim jeszcze 100 nabojów rewolwerowych! Wieczorem w szpitalu wojskowym Franciszek Lis wyzionął ducha. Był to człowiek z niesłychanym podobno temperamentem, który z rymarza w ostatnich czasach bandytyzmu przemienił się w herszta opryszków. Odziany był w dniu owej bezprzykładnej walki wojsk z jednym człowiekiem, w ubranie hr. Stadnickiego, pochodzące z rabunku. Wyprawami zbójeckiemi siał w okolicy postrach, ale istną panikę wśród ludności miejscowej wywołał swoją fenomenalną obroną, która wywołała bitwę formalną w Sławinku. Mieszkanie kowala przedstawia obraz zniszczenia a zasypane jest dosłownie ołowiem. Dość powiedzieć że w jednym oleodruku znaleziono 25 dziur od kul karabinowych.

Wypadek ten, przypominający słynny „fort Chabrol“, stał się głośnym w całej Europie, a Czytelnicy nasi zapewne z wdzięcznością przyjmą illustracye, które udało się nam zdobyć z miejsca bitwy z bandytą.



Walka wojsk z bandytą: W Sławinku pod Lublinem, kuźnia zniszczona ogniem działowym.

Ślub w więzieniu.

Niezwykle wzruszające wrażenie sprawiać musi ślub zawarty w więzieniu. A właśnie świeżo zanotowały dzienniki warszawskie podobny, rzadki zre-

Z lwowskiego bruku.

(Najsmutniejsza i najweselsza nowina. — Epidemiczna mania kandydowania i jej objawy. — Fatalny konkurs dramatyczny.— Komisya a autorzy. — Przygotowanie do sławy. — »Auch gut«. — Radny Ciesielski natchniony przez rabina. — Co Boskie Bogu, a złodziejom co złodziejskie. — Rzecz o ogonach. — Współczucie lwowskich pań. — Ogony na radzie. — Cyrk we Lwowie).

Jest we Lwowie bardzo dużo smutnych i wesołych nowin, z których najsmutniejszym jest fakt, że oprócz dotychczasowych, mamy już nowych kilkunastu kandydatów na posłów, a najweselszym, że z 80-ciu przysłanych na konkurs Wydziału krajowego dramatów, komisya nie nagrodziła ani jednego utworu. Razem z poprzednimi kandydatami mamy ich już tylu, że właściwie łatwiej byłoby wyliczyć tych, którzy nie kandydują, aniżeli kandydatów. Mania kandydowania stała się epidemiczną i bardzo niebezpieczną, więcej, niż się można było spodziewać. Jako w wysokim stopniu zaraźliwa, przenosi się ta choroba z jednej osoby na drugą z zadziwiającą szybkością i wybucha nader gwałtownie. Osobnik dotknięty tą chorobą dostaje gorączki, która objawia się w silnem pragnieniu, majaczeniu, gadaniu od rzeczy, bezsenności i licznych atakach różnego rodzaju.

Nadto chory rozrzuca w gorączce pieniądze swoje, albo cudze i czuje jakieś „ciągnienie“ w stronę Wiednia. Najgorszem jest, że niema jeszcze dobrych środków przeciw tej chorobie, a fizykat miejski, który pamięta o tyfusach i wściekliźnie, o tej chorobie jakby wcale nie wiedział. Starzy lekarze twierdzą, że epidemia ta, choć bardzo groźna, nie potrwa długo, a najpóźniej w dn. 17 maja całkowicie ustąpi.

Co się tyczy konkursowych dramatów, to rozmaicie o nich mówią. Jedni powiadają, że komisya Wydziału krajowego zaczęła wierzyć w swoje fatum, iż jakby naumyślnie odznacza zawsze najgorsze dramaty, które padają zaraz po pierwszem przedstawieniu — i dlatego nie chciała zaszkodzić młodym talentom i zniechęcić ich do pisania. Dając im bowiem nagrodę, skazuje się ich zarazem na śmierć literacką, a zadaniem jest tych konkursów nie zabijać, lecz ożywiać ruch pisarski. Inni powiadają, że dramacidła nadesłane na konkurs, nie zasłużyły na odznaczenie, bo pochodzą od niepoprawnych grafomanów obojej płci i piskląt literackich całej Galicyi, chorujących na sławę a cieszących sie dziś już wielką wziętością w kole swojej familii. Niektórzy autorowie nadesłali po kilka lub kilkanaście utworów, ażeby tem pewniej upolować nagrodę i sławę. Inni przygotowali sobie już fotografie w rozmaitych interesujących pozach, ażeby niemi obesłać wszystkie pisma illustrowane i wszystkie jeszcze nieillustrowane i niedrukowane ciotki, kuzynki i babki. Tymczasem komisya stchórzyła przed tym potopem geniuszów dramatycznych i nie wyłowiła, czy nie śmiała wyłowić z niego ani jednej rybki gienialnej, którąby wypłynęła stąd prosto na morze teatru i sławy.

Po takiem rozstrzygnieniu komisyi konkursowej autorowie dramatów nie tylko nie stracili miny, ale nawet dumni są i liczą obecnie na powodzenie swoich dzieł na scenie. Powiadają bowiem, że Wydział krajowy odznacza tylko kiepskie dramaty i powołują się na wszystkie poprzednie konkursy. Niektórzy nawet twierdzą, że umyślnie wysłali swoje utwory na konkurs, aby „nie otrzymać nagrody“.

Jeżeli jednak nie wsławili się jeszcze nasi autorowie dramatyczni, to wsławił się natomiast przy wyborze prezydenta radny Ciesielski, który ma ten dziwny zwyczaj, że ile razy jakaś sprawa wydaje mu się zawikłaną, zaciąga rady rabina. On wierzy w rabinów. Gdy na p. Ciuchcińskiego padło 50 głosów, objaśnił rabin dr. Caro p. Ciesielskiego, że to wystarcza, a p. Ciesielski na podstawie tej wyroczni wygłosił mowę i zalecał uznać p. Ciuchcińskiego prezydentem. Ale że każdy radny ma swego rabina i jedni żądali zdania rabina bełzkiego, inni sadogórskiego, więc p. Ciesielski nie utrzymał się ze swojem zdaniem i odroczono wybór na wtorek pomimo, że sam nawet rabin był innego zdania...

Niemniej ciekawem było zarządzenie lwowskiego sądu karnego, który onegdaj wysprzedał w drodze licytacyi, wszystkie niepodjęte lica sądowe tj. rzeczy pochodzące z kradzieży, a uzyskane stąd pieniądze przeznaczył dla — złodziei, tj. dla wsparcia wypuszczonych więźniów. Sąd lwowski wierzy w przeznaczenie. Były te rzeczy przeznaczone dla złodziei, bo je złodzieje skradli, więc niech do nich wraca ich wartość w pieniądzach. Za swoją kradzież złodziej odsiedział, ale to, na co może w pocie czoła i w strachu niemałym pracował, powinno mu być zwróconem zaraz po odcierpieniu kary.

Wielkie wrażenie w tutejszym świecie kobiet wywołała wiadomość, iż krakowska rada miejska wystąpiła przeciw ogonom damskim. Waszej radzie musi się dobrze powodzić, skoro aż o ogonach pamiętała. My od dwóch tygodni szukamy głowy (tj. prezydenta) i tak błahemi sprawami nie zajmujemy się na radzie.

Nasze panie, które używają ogonów z całą swobodą, współczują z waszemi i na znak współczucia chodzą stale ze spuszczonemi ogonami. Ale jest nadzieja, że i nasza rada miejsca, odzyskawszy wreszcie głowę, zabierze się do ogonów. Przypominam tu, że jeszcze przed dwoma laty damskie ogony przez jakiś czas były przedmiotem gorącej dysputy w lwowskiej radzie miejskiej — i zdawało się, że zbliża się ich koniec, lecz wszystkie żony, córki, ciotki i bliższe znajome radnych prośbą i groźbą wymusiły na nich zamilczenie o całej sprawie i zaniechanie zgubnej uchwały, dzięki czemu ogony zostały uratowane. Oby krakowski przykład nie podziałał teraz na naszych radnych.

O sensacyjnem samobójstwie guwernantek nie wspominam, bo nie chcę wprowadzać tyle naraz smutku do jednego listu (obok wyniku konkursu dramatycznego i choroby epidemicznej powszechnego kandydowania); natomiast wesołą mam nowinę, że w lecie mieć będziemy cyrk którego potrzeba już dawno dawała się dotkliwie odczuwać. Nie wystarcza bowiem jedyne Colosseum, które jest więcej tynglem, niż cyrkiem, ażeby zaspokoić wszystkie potrzeby artystyczne (a — pcich!) lwowskiej publiczności i w uznaniu tej potrzeby magistrat przedłożył radzie miejskiej pozwolenie do zatwierdzenia.

No, więc!

Kl.

sztą wypadek. W kaplicy więziennej przy ulicy Długiej, gdzie niegdyś mieścił się arsenał warszawski, pobłogosławił ks. Sokołowski związek małżeński p. Romualda Sudolfa z panną Julią Chawłowską. Nowożeniec w tak dziwnych warunkach sta-



Ślub w więzieniu warszawskiem: Zesłany na Sybir Romuald Sudolf z poślubioną w więzieniu małżonką Julią z Chawłowskich.

jący na ślubnym kobiercu, jest handlowcem z zawodu, a mieszkał w Królestwie za pasportem austryackim. Za przestępstwa polityczne został przez sąd wojenny skazany do gubernii jenisejskiej. Panna młoda jest córką byłego obywatela ziemskiego Pawła Chawłowskiego i Maryi z Brzechowskich. Po ślubie u rodziców panny młodej, odbyła się niezwykła uczta weselna bez pana młodego, który pozostał w więzieniu. W kilka dni później, nowożeńcy odjechali wspólnie do gubernii jenisejskiej na wygnanie.

Warszawiacy na wygnaniu.

Zmora stanu wojennego przygniata piersi mieszkańców Królestwa Polskiego, tamuje im oddech, utrudnia w najwyższym stopniu swobodę ruchów, odejmuje możność dodatniego działania w tym kraju tak utrapionym od dwóch lat przeszło.

Ów stan wojenny nie przyniósł nawet tego, czego się po nim spodziewano, nie ukrócił bowiem wcale niesłychanego w dziejach nowożytnych bandytyzmu, jaki grasuje w całej Kongresówce, a szczególniej w Warszawie i Łodzi. Gdy do mor-



Warszawiacy na wygnaniu: Grupa zesłańców politycznych z Warszawy, zdjęta w więzieniu etapowem w twierdzy w Irkucku.

dów bandyckich dodamy mordy partyjne, gdy uprzytomnimy sobie ogólną depresyę finansową powstałą skutkiem nieustannych strajków i bankructw, oraz wynikającą stąd biedę i wreszcie, gdy wspomnimy na stan wyjątkowy, podczas którego nikt nie jest pewien swej wolności osobistej, utworzy się zaiste obraz nie do pozazdroszczenia...

Oddawna już wprawdzie przyzwyczajono Polaków w Królestwie Polskiem do życia w warunkach nienormalnych, wprost urągających pojęciom sprawiedliwości i kultury zachodniej — jednakże dotąd nie mogli oni się do nich przyzwyczaić. I teraz tak dobrze, jak lat temu czterdzieści, lub siedmdziesiąt, wszystkich serca zwracają się ku tym nieszczęśliwym, co nieznalazłszy łaski w oczach stróżów bezpieczeństwa publicznego, wędrować muszą jako wygnańcy daleko na Wschód, po tej samej drodze, na której tylu już Polaków złożyło swe kości.

Redakcyi naszego pisma udało się otrzymać oryginalne zdjęcie zrobione w więzieniu etapowem w Irkucku, przedstawiające grupę warszawskich zesłańców politycznych z ostatnich czasów. Umieszczając to zdjęcie w „Now. Illustrowanych“, zasyłamy tym ofiarom pannującego obecnie systemu pozdrowienie braterskie i życzenia wytrwałości, bo przecież raz godzina sprawiedliwości dla wygnańców sybirskich wybić musi!

ZŁAMANA SPINKA.

Powieść na tle aktów sądowych

15. **przełożył z włoskiego W. Ż. K.**

Ciąg dalszy.

Było widoczne, że ktoś je przed chwilą rozrzucał, jakby chciał usunąć dla siebie niebezpieczne, czy nie przyjemne. Te, które pozostały na biurku, zawierały rzeczy obojętne, jak rachunki hotelowe, pokwitowania różnych firm handlowych. Pod biurkiem leżał papier, cokolwiek zmięty, jakby świeżo z ręki wypuszczony. Aleksandrowicz podniósł go skwapliwie. Był to telegram z Wenecyi, takiej treści: „Usłucham rady. Rzecz rozpoczynam. Plan doskonały. Czy jest niebezpieczeństwo? Alfonso“.

— Ten telegram wydaje mi się w związku z owym, który Ramello do Wenecyi wyprawił — rzekł Aleksandrowicz. — Ów pan Alfonso, to niezawodnie tajemniczy gość hotelu Golf, w nocy mordu na Salita Santa Nicola, lecz nad tem pomyślimy, a tymczasem weźmy się do pakietu.

Poodwiązywano oględnie sznurki, którymi był powiązany. Znaleziono austryackie banknoty, mianowicie dwadzieścia pięć sztuk po tysiąc koron, a oprócz tego różne kosztowności, ułożone w eleganckiej kasetce. Zastanowiło to wszystkich, po co Ramello miał taką kwotę w banknotach austryackich, również zwrócono baczną uwagę na to, że wśród precyozów, były też przedmioty zaopatrzone herbami z koroną baronowską. Nie ulegało wątpliwości, że to albo z grabieży pochodzi, albo, że jest może jakimś depozytem, Ramelli powierzonym. Aleksandrowicz przypatrywał się uważnie każdemu kawałkowi papieru, w który pakiet był zawinięty. Ku wielkiej swej radości przeczytał na jednym kawałku papieru taki napis, tworzący nagłówek: Zarząd dóbr Barona Pettki“.

Karol baron Pettko został zamordowany na Salita Santa Nicola — zawołał Aleksandrowicz — tu mamy dowód, że właściciel hotelu nie tylko ukrywał morderców, ale nawet był z nimi w porozumieniu i dzielił się łupem.

Zawinięto pieniądze i kosztowności, zabrano nie przejrzawszy jeszcze korespondencyę Ramelli, przeszukano najdokładniej całe jego mieszkanie, poczem komisya porzuciła hotel, pozostawiwszy dwóch ajentów i straż policyjną, w celu ujęcia zbiegłego Ramelli.

XIX.

UJĘCI.

Zaledwie zjawił się w biurze dyrektora policyi, przyniesiono mu z poczty pismo urzędowe, przysłane z Genewy. Policya tamtejsza donosi, że jej się udało przejąć list do Wilhelminy, adresowany i list ten załącza. Krótki to był list, ale pełen znaczenia dla policyi genueńskiej. W kilku słowach dowiaduje się matka o zdrowie swojego dziecka, i wyraża nadzieję, że w pensyonacie nie stało się nic takiego, coby jej pobyt ukrócić tam mogło, zarazem domaga się matka jaknajszybszej odpowiedzi i doniesienia, czy się kto o nią nie pytał, czy kto Wilhelminy nie odwiedzał. List pochodził z Wenecyi.

Widocznem było z tego, że Elena Luidgarde w Wenecyi jeszcze przebywa, że albo się domyśla, albo może wie na pewne, iż policya czyniła poszukiwania w pensyonacie aby zobaczyć Wilhelminę. Ten list i ów telegram, który Aleksandrowicz znalazł w papierach Ramella, wskazywały wyraźnie, że zbrodniarze ukrywają się w Wenecyi.

Jeszcze tego samego dnia otrzymał Aleksandrowicz potrzebne urzędowe upoważnienie i wyjechał do Wenecyi. Oczywiście przedewszystkiem zgłosił się w dyrekcyi tamtejszej policyi, gdzie mu dano do pomocy kilku ajentów. Zależało mu przedewszystkiem na poznaniu pisma autora telegramu, wyprawionego do Ramelli; udał się też do urzędu telegraficznego, gdzie z łatwością wyszukano autograf. Dowiedziawszy się w policyi, że Elena Luidgarde mieszka w hotelu na Lido, udał się tam natychmiast i kazał sobie pokazać książkę meldunkową. Tuż obok pisma Eleny znajdował się adres hr. Montegretto, a porównanie oryginału telegramu z pismem w księdze meldunkowej, przekonało najdowodniej, że telegram do Ramelli wysłał Conte Alfonso di Montegretto. Wobec tego udał się Aleksandrowicz z ajentami pod numer 54 i 55, przy drzwiach każdego pokoju zostawił dwóch ajentów, a sam wszedł pod numer 55, skąd dochodził go męski głos. Elena stała przy stoliku, a Conte Alfonso przechadzał się po pokoju i mówił coś do niej w rozdrażnieniu, głosem podnieconym. Gdy się drzwi otwarły i Aleksandrowicz próg przestąpił, pierwsza dostrzegła go Elena i tak się przeraziła, że z krzykiem padła na otomanę. Hr. Alfons, który był plecyma do drzwi obrócony i ani nie widział, ani nie słyszał wejścia Aleksandrowicza zdumiony tem co się stało, rzucił się ku Elenie w mniemaniu, że nagle zemdlała. Dopiero wzrok Eleny — zwrócony z przerażeniem w stronę drzwi, zniewolił go do obejrzenia się poza siebie. Zobaczył Aleksandrowicza. Poznał go natychmiast, zrozumiał całą grozę niebezpieczeństwa. Wszystko stracone, trzeba szukać ocalenia. Sam jeszcze zdoła wybrnąć, ale Elena gotowa powiedzieć wszystko. Trzeba, aby milczała. Takie myśli błyskawicą przebiegły mu przez głowę. Udaje, że nie poznał Aleksandrowicza, że wejście obcego człowieka gniewa go i oburza, więc prędko zawołał:

— Czego pan sobie życzysz? jak można wchodzić bez zameldowania? proszę poczekać, ta pani umiera, muszę ją cucić.

Nie czekając odpowiedzi i równocześnie gdy to mówił, porywa szklankę wody, wsypuje coś do niej nieznacznie, wkładając równocześnie kawałek cukru, miesza i podając Elenie mówi gorączkowo:

Ciąg dalszy nastąpi.

…WIK STASIAK

Ślub córki pana radcy.

Humoreska małomiejska. (Dok).

Pan radca córkę za mąż wydaje.

— Jaki znowu radca? Tu w aptece? Radca pigułki kręci?!!

— Nie.

— Pan mówisz, że tu w aptece...

— Nie w aptece.

— Cóż u kroćset djabłów ma wspólnego córka radcy z apteką?

— Jakto co wspólnego? Całe miasto idzie na wesele, a więc i aptekarz idzie na wesele.

— A pomocnik aptekarza? Przecie aptekarz musi mieć laboranta. On mi da waty karbolowej...

— Pomocnik?! Otóż to to! Otóż to to! I pan z takiemi zapatrywaniami chcesz rozwiązać kwestyę socyalną? Chcesz pan przeprowadzić reformę społeczną?

Ściskałem rękami zabandażowaną głowę i mówiłem:

— Mój panie, daj mi pan święty spokój. Ja nigdy nie chciałem rozwiązywać kwestyi socyalnej, nigdy nie przeprowadzałem ani społecznej reformy, ani żadnej innej reformy.

— A przecie pan narzekasz, że zamknięta apteka. Laborant zajęty będzie jako lokaj na weselu.

* * *

Wpadłem na policyę, aby zaskarżyć aptekarza. Niechże rozpoczną śledztwo, kto zbrodniczą ręką barykadę ustawił, kto spowodował, żem sobie rozbił łeb. Na policyi nie zastałem nikogo. To jest właściwie jeden stróż nocny był, ale policyantów nie było.

— Gdzie jest straż zbrojna?!!

— O kogo się pan pyta?

— No o policyą.

— Co? Hę? To pan nie wie co się dzisiaj na policyi dzieje?

— Cóż się dzieje?

— Rzecz nadzwyczajna. Jak świat światem takiej wspaniałości nie widziano, kula ziemska się zawali, a takiej wspaniałości ludzie nie ujrzą na oczy.

— No, ale co się dzieje?!!

— Pan radca córkę za mąż wydaje. Za godzinę ślub.

Wściekłość zatkała mi głos w gardle.

— Panie!! Mnie się zdaje żem oszalał!!! Pojąć nie mogę co ma wspólnego policya z córką pana radcy. Czy przyszły mąż córki pana radcy jest policyantem?! Czy ślub ten będzie na policyi?

— Nie. W kościele.

— No cóż więc wspólnego ma ślub z policyą?

— Pan nie wie? Policyanci poszli do lasu po dębinę.

— Na co u kroćset djabłów?!!

— Występują w pełnym rynsztunku jako straż honorowa. Na dzisiejszą uroczystość kazał burmistrz sprawić nowe kostyumy...

— O o o!

— Policya miejska in corpore da podczas ślubu salwę.

— O o o!

— Dziś był rozkaz komendanta, że jeśli salwa nie pójdzie równo, to kara straszna. Rozkaz mówi, że który policyant wyrwie się ze strzałem sekundę przed salwą, lub sekundę po salwie, to dostanie w pysk.

— O o o!

* * *

Zawlokłem się do hotelu, aby znajść przytułek. Ale cały hotel zajęty. Mieszkają w nim goście, którzy przyjechali na ślub córki pana radcy. Trzeba będzie nocować na ulicy lub w rynsztoku. To okropne. Z bolu i zmartwienia postanowiłem odebrać sobie życie. Aby nabyć rewolwer poszedłem do sklepiku rusznikarza. Ale kram był zamknięty. Widocznie rusznikarz też będzie tańcował. Będzie tańcował wraz z laborantem aptekarskim i policyantami. Kto się wyrwie naprzód w kadrylu, ten dostanie w pysk. Ja się nie będę na to patrzeć, bo się zastrzelę. Takie mam postanowienie, taką miałem nadzieję. Ale nadzieja jest zwodnicza. Sklep rusznikarza zamknięty, więc muszę żyć. Jeśli tedy w tym straszliwym dniu nie strzeliłem sobie w łeb, to tylko dlatego, że był ślub córki pana radcy. Jako żywo ludzie na oczy nie widzieli, kula ziemska się zawali, a takiej wspaniałości nikt nie ujrzy na świecie.

KONIEC.

Zagadki do nagrody

Szarada.

Ułożył Józef Scheffel ze Lwowa.

Jeżeli zechcecie zgadnąć *pierwsze trzecie*
Popatrzcie na wodę, a wnet to znajdziecie.
Kto *trzecią z drugą* połączyc by zechciał,
Niech widzi »preryę«, zgadnie choćby nie chciał.
Co *drugie pierwsze*, to zbyt dobrze wiecie,
Siada na tem każdy, wygodna nie gniecie.
Połącz zaś *wszystko*, to z tem, a to z owem,
Będzie roślina z kwiatem motylkowym.

Łamigłówka.

Ułożył E. H. z Warszawy.

Krzyżyki i kropki zamienić na litery i utworzyć 11 wyrazów, tak, aby początkowe litery czytane z góry na dół i końcowe czytane z dołu do góry, utworzyły przysłowie polskie.

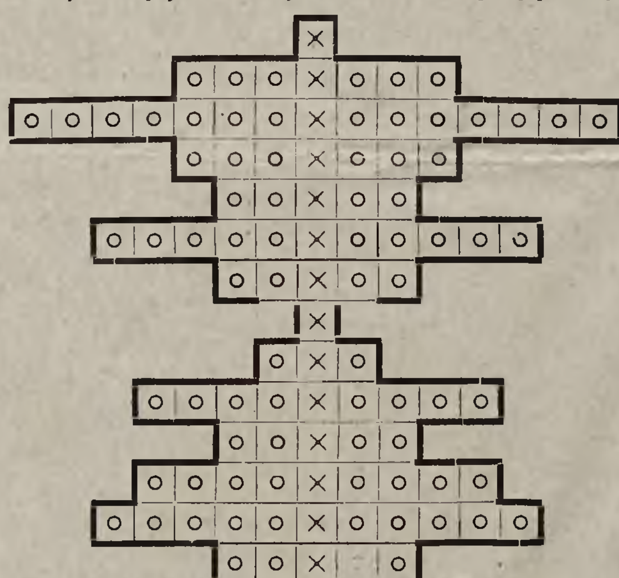
×	o	o	o	o	×
×	o	o	o	o	×
×	o	o	o	o	×
×	o	o	o	o	×
×	o	o	o	o	×
×	o	o	o	o	×
×	o	o	o	o	×
×	o	o	o	o	×
×	o	o	o	o	×
×	o	o	o	o	×
×	o	o	o	o	×

Znaczenie wyrazów: 1. Wieś nad Prutem. 2. Oberża. 3. Miasto w Azyi. 4. Kamień wapienny. 5. Miasto w Bessarabii. 6. Mistyczna bogini grecka. 7. Czas pokuty. 8. Broń. 9. Imię papieża. 10. Wieś na Podolu. 11. Miasto w gubernii Wołyńskiej.

Logogryf

Ułożył Z. Arciszewski z Brzozowa.

Kółka i krzyżyki zastąpić literami, aby litery wstawione w miejsce krzyżyków utworzyły imię i nazwisko poety polskiego.



Znaczenie wyrazów: 1. Samogłoska. 2. Jeden z utworów tegoż poety. 3 Również jeden z utworów tegoż poety. 4. Inaczej sofa. 5. Przyrząd do świecenia. 6. Kraj na Węgrzech. 7. Miasto na Węgrzech. 8. Spółgłoska. 9. Kawałek drzewa. 10. Miasto na Węgrzech. 11. Miasto na Żmudzi. 12. Jeden z poetów polskich. 13. Skłonność do smutku. 14. Znakomity wódz rzymski.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek, przeznacza Redakcya pół klg. heroatników z cukierni Piaseckiego w Krakowie.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 16.

Logogryf.

I N, cap, orzeł, Zagłoba, proso Macedonia. Karol Szajnocha, Sienkiewicz, Nemezis, Jojna, Bałucki, Boże Ciało, mazur, Maraton, Przedpiekle, Syrokomla, Alzacya, Golgota, Helgoland, Ameryka, Reichenhall.

Na złodzieju czapka gore.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: K. Ludwig Borysław, K. Fuchs Czeremchów, M. Mołoczyński Pikułowice, H. Zielińska Manajów, M. Arbesbauer Lwów, Towarzystwo »Zgoda« Krosno, J. Kawecki Jaworzno, J. Rotter Chlebowice Wielkie, A. Bocsoń Bóbrka, M. Pfeifer Lwów, F. Niepokój Krosno, L. Wygrzywalski Kraków, M. Rożański Libusza, M. Opolska Czarny Dunajec, M. Świtlikowa Rzeszów, S. Spursów Skała, J. Haładej Skała, Dr. S. Warmski Turka, I. Suchorzewska Uherce, K. Piekarski Podgórze, K. Kowalski Mogiła.

Nagrodę przez losowanie otrzymał K. Piekarski Podgórze, prosimy o nadesłanie 35 h. na koszta przesyłki.

Od Administracyi.

Przypominamy Szanownym P. T. Prenumeratorom naszym, że przy każdorazowej zmianie adresu należy nadesłać jednocześnie z nowym adresem 40 halerzy na koszta zmiany.

Kącik humorystyczny.

Filozofia.

W Chrzanowie mieszka pan Dawid Gänsehaut, który ma we Wiedniu syna na uniwersytecie. Na święta wrócił synek do Chrzanowa.

— Nu — pyta go ojciec po pierwszym obiedzie — i co ty się tam uczysz?

— Ja się uczę filozofii — mówi syn.

— Co to jest filozofia?

— Filozofia, to jest nauka, zapomocą której można wszystko udowodnić?

— Ty jesteś durny, co ty mnie możesz udowodnić?

— No, ja tobie mogę udowodnić, że ty tu nie jesteś.

— Ano, udowodnij mi to!

— Prawda — mówi syn, że jesteśmy teraz w Chrzanowie.

— Tak jest.

— Nu a jak jesteś w Chrzanowie, to nie jesteś w Budapeszcie.

— Nie.

— A jak nie jesteś w Budapeszcie, to jesteś gdzieindziej.

— Tak.

— A jak jesteś gdzieindziej, to nie jesteś w Chrzanowie i nie jesteś tu. Nu?

— Bardzo dobrze — mówi ojciec i daje synowi w pysk.

— Za co bijesz w pysk? — pyta syn.

— Ja ci biję? Także ja nie jestem tu, jak ja o... bie mogę bić?...

Krótki rachunek.

Doktor Münz spotyka w kawiarni Kijaka jednego z najmłodszych tutejszych lekarzy pana X.

— Jak się macie? — pyta doktor Münz młodego kolegi — jakże się wam powodzi?...

— Dziękuję! znakomicie! — odpowiada z dumą pan X. — inni skarżą się ciągle, a mnie się praktyka podwoiła!...

— Tak? — odzywa się złośliwie doktor Münz — więc już jest drugi pacyent?!...